MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 16. WARSZAWA, 20 KWIETNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

WOBEC NOWYCH ZADAŃ

ROK 1930 będzie świadkiem zwrotu w powojennej polityce międzynarodowej. Siły, które ten zwrot spowodują, gromadzą się już od szeregu lat, wyzwoli je ustąpienie wojsk francuskich z Moguncji. Niemcy uzyskają swobodę polityczną i nie omieszkają w szerokim zakresie z niej skorzystać: z większą energją i z większą konsekwencją poprowadzą atak na traktat Wersalski, przedewszystkiem na jego postanowienia terytorjalne. Dawni sprzymierzeni zaś wypuszczają z ręki ostatnią i jedyną gwarancję, jaka ich zabezpieczała przed agresywnością polityki niemieckiej. Nawet najwięksi zwolennicy „nowoczesnej" polityki genewsko-lokarneńskiej w parlamencie francuskim zwrócili uwagę na to, że po 30 czerwca r. b. można będzie polegać już tylko na zaufaniu do pokojowych tendencyj Niemiec i na tych gwarancjach, jakie daje pracowicie w ciągu dziesieciolecia zbudowany gmach paktów, protokułów i traktatów, zmierzających do ugruntowania pokoju powszechnego.

Już przed przejściem Moguncji w ręce niemieckie widzimy szereg przejawów, które nakazują nam zastanowić się poważnie nad wartością całej tej budowy pacyfikacyjnej, wzniesionej pod natchnieniem duchów genewskich i lokarneńskich. Do przejawów tych zaliczamy: niepowodzenie konferencji morskiej w Londynie, niepowodzenie konferencji celnej w Genewie, powstanie rządu centrowo-prawicowego w Berlinie...

Na konferencji londyńskiej ujawniły się bardzo silnie nieporozumienia między szeregiem państw w pierwszej linji ochłodzenie znaczne stosunków między Anglją i Francją i wyraźny autagonizm włosko-francuski. Konferencja pacyfikacyjna stała się powodem zaostrzenia stosunków; napisałem już na innem miejscu, że jeszcze kilka tego rodzaju narad — a Europa będzie bliska nowej wojny Zmiana kierunku w polityce wewnętrznej Niemiec nie jest dziełem przypadku, lecz wynikiem gry parlamentarnej, wynika ona z natury rzeczy, jest następstwem teoretycznego załatwienia sprawy ewakuacji Nadrenji. Rząd dr. Brueninga powstał bez posiadania większości parlamentarnej, przy wydatnem poparciu prezydenta Hindenburga, czyli reprezentanta tych sił ukrytych, stojących poza kulisami jawnej polityki, które mają jednak decydujące znaczenie w Niemczech i które zastępują to oddziaływanie, jakie przed wojną wykonywał monarcha. Opieranie rządów o lewicę było potrzebne dla kontynuowania polityki wielkiego Stresemanna, której głównym objektem było opróżnienie Nadrenji i uzyskanie swobody poruszeń politycznych. Gdy Niemcy uznały, że osiągnięcie celu jest pewne, przeszły do nowego okresu swej polityki — zwracają się frontem ku wschodowi i opierają swą politykę wewnętrzną na innych, aniżeli dotychchas, czynnikach. I niech francuscy i polscy politycy, hołdujący złudzeniom co do możli-

wości ścisłego porozumienia z Niemcami nie sądzą, że jest to przypadkowe *intermezzo*, bo jest to zwrot zasadniczy, o który będą się rozbijały iluzje polityki lokarneńskiej, jak bańki szklane o żelazo.

W ten nowy okres polityki światowej wchodzą państwa zwycięskie w bardzo złych warunkach. Zaniedbano bowiem politykę sojuszów, powstały i rozrosły się wśród państw Europy Zachodniej antagonizmy, przestano tu i ówdzie myśleć o wzmocnieniu sił własnych, zaufano paktom; a tymczasem zaczyna się ujawniać cała złudność wiary w te nowe sposoby zabezpieczenia pokoju. Dawne środki zaniedbane i poniechane, a nowe okazują się niedostatecznemi. Idziemy szybkiemi krokami do takiej sytuacji, że stan bezpieczeństwa Europy przed rokiem 1914 będzie się wydawał ideałem wobec szykującej się anarchji międzynarodowej.

Ten rozwój wydarzeń powinni byli przewidzieć kierownicy polityki polskiej. Jeżeli tego nie zrobili (a nie zrobili), to czas ostatni, by wobec nowej sytuacji polityka polska nawróciła z dotychczasowej swej błędnej drogi, a to tembardziej, że chaos stosunków międzynarodowych zagraża przedewszystkiem Polsce. Niemcy przygotowują się do tego, by z tego chaosu skorzystać dla wywrócenia nowego układu terytorjalnego w Europie, podstawą zaś i symbolem tego układu jest państwo polskie. Tyle razy już pisaliśmy o tem, że następstwem opróżnienia Nadrenji będzie wysunięcie przez Niemcy planu rozbioru Polski; rozwój wydarzeń potwierdza nasze przewidywania w zupełności.

Polityka nasza szła po linji najmniejszego oporu. Przyjmowano za pewnik, że „nowy“ układ stosunków politycznych i „nowe“ metody trwać będą wiecznie. Starano się o zapewnienie Polsce bezpieczeństwa i pokoju przez branie żywego i gorliwego udziału w całej działalności „pacyfikacyjnej“. Okazano nawet pewną inicjatywę w pamiętnym wniosku p. Sokala, który wyprzedził pakt Kelloga. Lecz zaniedbano sprawę sojuszów i niedoceniono „dawnych“ metod dyplomatycznych. Z chwilą tedy, gdy kończyć się będzie okres genewsko - lokarneński, polityka polska znajdzie się w położeniu bardzo trudnem. Jeśli będzie szła siłą inercji po dawnych drogach, znajdzie się w zupełnej próżni. Mały na to przykład dają traktaty z Niemcami. Tymczasem jeśli my się nie zajmiemy pokierowaniem wypadkami, to wypadki zajmą się nami. Było rzeczą dużo łatwiejszą współpracować w akcji pacyfikacyjnej, niż znaleść samodzielną drogę dla polityki polskiej wśród niebezpieczeństw i trudności, na jakie narażona jest Polska. Rozwój wydarzeń zmusza nas jednak do tego.

Że nasze rozważania nie mają charakteru teoretycznego, na to wskazuje wiele rzeczy, między innemi fakt, że pewne czynniki międzynarodowe powzięły myśl użycia Polski za narzędzie do otwarcia rynków rosyjskich i zasobów surowców dla kapitału międzynarodowego. Polska musi zająć stanowisko wobec zamierzeń podobnych; kto zaś chce takie stanowisko zająć, musi mieć wyrobione poglądy na misję dziejową Polski, na współczesne położenie międzynarodowe, na zadania polityczne naszego państwa w czasie obecnym. Jeśli się zaś chce oprzeć plan działania politycznego na tak szerokiej podstawie, to powraca się do zagadnień, które stały się powodem rozdwojenia opinji polskiej przed wybuchem i w chwili wybuchu wielkiej wojny.

Zdawałoby się, że doświadczenie, jakie dała nam wojna oraz okres jej likwidacji, powinno było usunąć z powierzchni spory orjentacyjne; zdawałoby się, że polityka powojenna Niemiec powinna była doprowadzić opinję polską do jednomyślnego wniosku, że realnem i aktualnem niebezpieczeństwem dla państwa polskiego są dążenia Niemiec do rewizji granicy polsko - niemieckiej, że przeto cały system polityki polskiej powinien być dostosowany do faktu nietylko istnienia, lecz wzmagania się tych dążeń. Tak by się zdawało, lecz tak nie jest. Świadczą o tem nietylko głosy prasowe i publicystyczne, lecz przedewszystkiem nasza polityka urzędowa.

Zbliża się ku końcowi okres łatwej polityki, polegającej na „współpracy“ w dziele pokoju. Zbliża się okres, który będzie wymagał programu własnego, szybkich decyzyj oraz samodzielnej, przewidującej i zapobiegliwej akcji politycznej, prowadzonej „dawnemi“ metodami i opartej na „dawnych“ zasadach.

Jest rzeczą wielce pożałowania godną, że nadejścia tego okresu nie przewidziano, że nie wyzyskano szeregu lat ostatnich dla przygotowania sobie gruntu, że nie zajęto pozycyj, któreby się bardzo obecnie przydały. To się już odrobić nie da. Lecz skoro mnożą się fakty, które zapowiadają nowy okres w polityce międzynarodowej, to nie ma już czasu do stracenia. W ośrodku polityki polskiej musi zapanować odpowiednia „orjentacja“, czyli plan polskiej polityki zagranicznej i w myśl tego planu musi być poprowadzona energiczna i konsekwentna akcja polityczna na terenie międzynarodowym.

Postępowanie dalsze po linji najmniejszego oporu, po linji „pacyfikacji“ przez pakty, protokuły, i traktaty stanie się niebawem nietylko niecelowe i nieskuteczne, lecz także całkiem nierealne a przeto niemożliwe, bo po tej drodze przestaną się posuwać inni. Jeśli nie będziemy mieli polityki, która to przewidzi i do tego się przygotuje, to się znajdziemy w ślepym zaułku, pozostaniemy w tyle poza innymi, a ta nasza ślepota i to nasze zacofanie będą wyzyskane przez innych, przez tych przedewszystkiem, którzy są najbardziej zainteresowani w tem, by państwo polskie istnieć przestało.

STANISŁAW KOZICKI

W ODPOWIEDZI NA WĄTPLIWOŚCI

OPUBLIKOWANA w „Myśli Narodowej“ recenzja p. Rembielińskiego mojej książki: „Państwo Narodowe“[1]) jest tak pochlebną, że mogłaby zadowolić najdrażliwszą próżność autorską. Osobistej jednak ambicji dawno się wyzbyłem — mam natomiast coś niecoś ambicji dzielnicowej, wschodnio-małopolskiej. I w jej obronie muszę stanąć przeciwko wątpliwościom, które podniósł w „Myśli Narodowej“ p. Rembieliński, uzupełniając niemi zarzuty p. Mosdorfa w „Gazecie Warszawskiej“ i prof. Wojciechowskiego w „Awangardzie“.

Bo tak się dziwnie zdarzyło, że to, co w proponowanym przezemnie ustroju państwa narodowego jest oryginalną moją myślą, nie spotkało się z żadnemi w prasie narodowej zastrzeżeniami. P. Rembieliński nie sprzeciwił się konstytucyjnemu ustaleniu hierarchicznej wyższości spraw mocarstwowej potęgi i dziejowej przyszłości narodu nad sprawami bieżącego życia cywilizacyjnego ludności i przekazaniu pierwszych Izbie Wyższej, a drugich Izbie Niższej sejmu. A i on i prof. Wojciechowski wyraźnie pochwalają dożywotni wybór Prezydenta Rzplitej.

Natomiast i prof. Wojciechowski, i p. Mosdorf, i p. Rembieliński wystąpili z krytyką wypowiedzianego przezemnie żądania, by prawa polityczne suwerennego narodu polskiego były w państwie polskiem wyższe od praw obojętnej na dziejowe dążenia Polski, a nawet częściowo wrogiej ludności niepolskiej, i by zgodnie z tem przy wyborach do ciał samorządowych została wyborcom polskim zapewniona większa niż niepolskim ilość mandatów, a przy wyborach sejmowych w okręgach o liczebnej przewadze ludności niepolskiej, Polacy i niepolacy głosowali w dwuch odrębnych kołach, wybierających po jednym pośle zwykłą większością głosów.

Wystąpili oni z krytyką tego żądania, choć przed paru miesiącami klub Stronnictwa Narodowego w sejmie zgłosił wniosek ordynacji wyborczej do rad miejskich na identycznej zasadzie opartej i choć prasa narodowa publikuje od dłuższego czasu po parę co tydzień sprawozdań z wieców w różnych miastach Małopolski Wschodniej, na których polska ludność z entuzjazmem uchwala rezolucje, domagające się prawnego zagwarantowania przewagi głosu polskiego społeczeństwa kresowego zarówno w państwie, jak w samorządach lokalnych nad głosem rusinów, białorusinów, żydów, litwinów, niemców.

Nie moją jest rzeczą dociekać, czemu to samo żądanie, gdy je wypowiada klub sejmowy Stronnictwa Narodowego i gdy je uchwalają wiece tegoż stronnictwa, nie wywołuje ani w „Gazecie Warszawskiej“, ani w „Awangardzie“, ani w „Myśli Narodowej“ żadnego niepokoju — ale budzi protesty i wątpliwości, gdym je sformułował w swej książce. Chcę tylko stwierdzić, że protesty te i wątpliwości zwracają się przeciwko temu tylko postulatowi mego programu — który jest stałem oddawna żądaniem całej nacjonalistycznej opinji polskiej w Małopolsce Wschodniej.

Boć na stanowcze domaganie się tej opinji Koło Polskie w Wiedniu uzyskało w 1906 r. przy wprowadzaniu powszechnych wyborów do parlamentu austrjackiego utworzenie w Małopolsce Wschodniej okręgów dwumandatowych, z jednym mandatem dla mniejszości polskiej, przewyższającej 25% i drugim dla większości ruskiej, przewyższającej 50% ogólnej liczby oddanych w okręgu głosów.

Austrjacki rząd i parlament uznał, że wyższej cywilizacyjnie a mniej licznej ludności polskiej należy się równy wpływ na sprawy państwowe z dwukrotnie choćby liczniejszą ludnością ruską.

Ale stronnictwo demokratyczno - narodowe uważało, że i w okręgach, w których ludność polska nie dochodzi 25%, powinna ona mieć jednak zapewnione przedstawicielstwo w parlamencie i w sejmie krajowym. Więc postawiło ono, gdy weszła na porządek dzienny sprawa wprowadzenia powszechnych wyborów do sejmu galicyjskiego, wniosek o utworzenie wyborczego katastru narodowego i odrębne głosowanie Polaków i niepolaków, tak by żaden głos polski nie ginął.

I podobnie, już w Polsce niepodległej, gdy w 1922 r. sejm ustawodawczy pod wpływem ówczesnej sytuacji międzynarodowej uchwalał ustawę o zasadach samorządu wojewódzkiego w Małopolsce Wschodniej, posłowie z niej zażądali, by rady wojewódzkie składały się z dwuch kół narodowych, liczebnie równych i wybieranych odrębnie przez ludność polską i niepolską. I sejm temu żądaniu zadość uczynił.

Więc o wątpliwościach p. Rembielińskiego mam prawo mówić nie we własnem jeno imieniu, ale jako przeciętny małopolanin wschodni, — i z prawa tego pragnę skorzystać. A rozpoczynając tę dyskusję w 1930 r. na łamach „Myśli Narodowej“, i artykułem jej odpowiedzialnego redaktora— nie mogę nie przypomnieć naczelnemu jej redaktorowi p. Zygmuntowi Wasilewskiemu podobnych dyskusyj, jakie prowadziliśmy obaj dwadzieścia parę lat temu na łamach „Słowa Polskiego“ ze Stańczykami krakowskimi, którzy tak samo, temi samemi niemal słowami, przestrzegali nas, szowinistów lwowskich, przed wznoszeniem „barjer prawnych“ między ludnością polską, a „pokrewną nam rasą, językiem, obyczajem“ ludnością ruską.

Aleśmy nie bardzo się wówczas tym doktryneryzmem Stańczyków niepokoili — bo wiedzieliśmy, że sejm i wydział krajowy będzie się znacznie więcej liczył z opinją Lwowa niż Krakowa.

Warszawa ma dziś wszakże formalną możność prowadzenia w Małopolsce Wschodniej polityki, wręcz choćby sprzecznej z dążeniami miejscowego społeczeństwa polskiego.

Ale przed majem 1926 r. — wszystkie, jakie były, rządy Rzplitej i większości obu pierwszych sejmów uznawały szczerze, że o polityce kresowej państwa polskiego decydować muszą przedewszystkiem doświadczenia polskiej kresowej ludności.

Odmiennych zupełnie poglądów na całokształt życia społecznego i nietuzinkową indywidualnością jest p. Thugutt. Lecz dzięki objektywizmowi, z jakim traktował podawane mu przezemnie i przez p. Löwenherza fakty, cyfry, obserwacje nastrojów i dążeń ludności — doszliśmy do zgodnego zreda-

[1]) Zamieszczamy z wdzięcznością poniższy, łaskawie nam przez prof. Stanisława Grabskiego, nadesłany artykuł polemiczny, stanowiący cenne uzupełnienie najnowszej Jego książki. Do omówienia spraw, poruszonych w artykule, powrócimy — ze względu na ich zasadnicze znaczenie programowe—w najbliższej przyszłości.

gowania ustaw językowych dla województw wschodnich. I, polegając na tej naszej zgodnej współpracy, uchwalił je sejm wszystkiemi niemal polskiemi głosami.

A ustawy te dają poważną prawną ochronę cywilizacji polskiej przed zalewem ze strony większości niepolskich — by, dla przykładu, jedno tylko wspomnieć postanowienie, stawiające na równi żądanie polskiego języka wykładowego w szkole, zgłoszone przez rodziców 20 dzieci, z żądaniem języka wykładowego ruskiego, białoruskiego lub litewskiego, zgłoszonem przez rodziców 40 dzieci.

Dopiero rządy „sanacyjne" zaczęły jawnie lekceważyć opinję polską w województwach kresowych. Ale mimo to niebardzo jeszcze się niepokoiłem o przyszłość naszą w Małopolsce Wschodniej. Bo od pierwszej chwili byłem głęboko przekonany, że „sanacja", zanim jeszcze zdoła zrealizować swe ukrainofilskie eksperymenty, sama się załamie.

Naprawdę ogarnia mnie ciężka troska dopiero teraz, gdy widzę, jak modne dziś u góry lekceważenie doświadczeń i żądań polskiej ludności województw wschodnich przenika do „młodych" obozu narodowego w Warszawie. Ciężko płaciliśmy już nieraz w historji za rozdźwięki warszawskiej polityki kresowej z dążeniami kresowego polskiego społeczeństwa.

Czyżby z dojściem do wpływów na politykę Rzplitej dzisiejszych „młodych" miały znów wrócić te rozdźwięki? Nie daj tego Boże...

Należy w czas temu zapobiedz, — usunąć różnice poglądów na sprawy kresowe w opinji narowej Warszawy i Lwowa, — zaniechać wątpliwości, płynących z dedukcyjnych rozważań, a nie realnego doświadczenia.

Bo wyłącznie dedukcyjnemi wątpliwościami są wątpliwości p. Rembielińskiego.

Są one trzy. Cytuję je dosłownie.

Wątpliwość pierwsza: „Utrudniając rusinom czy białorusinom głosowanie na kandydatów polskich, do których żywiliby osobiste zaufanie — nie zabezpiecza projekt prof. Grabskiego przed wpływem żydów nawet na rostrzyganie spraw potęgi mocarstwowej i historycznej przyszłości narodu w Izbie Wyższej oraz na wybór Prezydenta Rzeczypospolitej".

Wątpliwość druga: „Wykonywanie praw politycznych jest w treści swojej raczej obowiązkiem, niż przywilejem... wątpliwe jest bardzo, żeby dla tych, których nie zasymiluje wyższość cywilizacji polskiej i jej urok, siłę przyciągającą stanowić miała... perspektywa zdobycia w ten sposób prawa głosowania w wyborach do Izby Wyższej".

Wątpliwość trzecia: Prof. Grabski „wprowadza konstytucyjne niejako uprawnienie ludności, którą pragniemy zasymilować, do swobodnego wyboru między rolą w pełni za byt i siłę mocarstwową państwa odpowiedzialnego obywatela, albo rolą obojętnego na te zagadnienia mieszkańca".

Trzecia ta wątpliwość powstała chyba ze zbyt pośpiesznego przeczytania mej książki. Miałaby ona jakieś uzasadnienie, gdybym proponował kataster narodowy, do któregoby się wyborcy sami zapisywali przed wyborami. Tymczasem wyraźnie stawiam zasadę, że o przynależności do narodu polskiego decydować winno, prócz podania polskiej narodowości przy spisach ludności, również 1) oświadczanie się za polskim językiem nauczania w szkole 2) należenie do polskich stowarzyszeń. Więc — wedle mego projektu — nie wystarczy, by ktoś zgłosił swą chęć należenia do narodu polskiego — by mógł z praw narodu suwerennego korzystać. Musi ponadto chęć tę stwierdzić czynami, postępowaniem swem przez długi szereg lat. Musi na prawo to sobie zarobić popieraniem cywilizacji polskiej na polu szkolnictwa, samopomocy społecznej, organizacyj oświatowych. A czy je zarobił naprawdę — decydować o tem będzie oczywiście nie on sam, lecz władza państwowa.

A wobec tego płonną jest też obawa p. Rembielińskiego, by żydzi, przez zgłaszanie się masowe do narodu polskiego nie uzyskali wpływu na naszą politykę mocarstwową, którego odmawiam rusinom i białorusinom.

Gdyby nawet wszyscy żydzi zostali zaliczeni do polskich kół wyborczych, to i w takim razie mieliby oni znacznie mniejszy wpływ na państwo nasze niż dziś. Obecna ich bowiem siła polityczna w Polsce polega przedewszystkiem na kierowniczej ich roli w bloku „mniejszości narodowych". Bez tego bloku nie osiągnęliby oni bodaj połowy posiadanych dziś mandatów.

Wszystkie trzy jednak dotychczasowe do sejmu naszego wybory świadczą wyraźnie, że masa żydowska nie chce się rozpraszać wśród stronnictw polskich, że chce głosować na własne listy. By wszakże należeć do kół wyborczych polskich, żydzi musieliby wyrzec się nietylko własnych posłów, lecz co więcej własnych stowarzyszeń i związków. Tego się nie wyrzekną nigdy ani syjoniści, ani ostodoksi, ani nawet „żydzi — Polacy" o podwójnej narodowości. A Polaków mojżeszowego wyznania było zawsze, jest i będzie bardzo niewielu. Ale pozostaje jeszcze do wyjaśnienia obawa „prawnej barjery" między polską, a ruską i białoruską ludnością województw kresowych.

P. Rembieliński brał chlubnie udział w obronie Lwowa. Ale nie brał on udziału w codziennem życiu miast, miasteczek i wsi Małopolski Wschodniej.

I nie zdaje on sobie sprawy z tego, co każdy z nas tu wie, że o wiele silniejszą barjerą od najjaskrawszych choćby różnic praw wyborczych Polaków i niepolaków, są „ukraińskie" stowarzyszenia, wychowujące co dzień, do najwrażliwszych strun duszy chłopskiej sięgając, separatyzm ludu ruskiego na polu życia religijnego, oświaty, wychowania fizycznego, dobroczynności, pracy społeczno-gospodarczej — i z separatyzmem tym nienawiść do Polski.

Czy barjerę tę jest w stanie przełamać „urok" cywilizacji polskiej, płynący wprost z jej „wyższości"? Na czem p. Rembieliński nadzieję tę opiera — nie wiem. Ale wiem, że lat temu 30 cywilizacja polska bardziej jeszcze niż dziś górowała nad ruską. A jednak przez te lat 30 rósł separatyzm ukraiński wśród ludu ruskiego i typ rusina z pochodzenia — Polaka z narodowości zanikał.

Między 1900 a 1907 r. należało dużo włościan ruskich do kółek rolniczych. Po pierwszych wyborach powszechnych do parlamentu austrjackiego opuścili wszyscy niemal rusini kółka rolnicze. Część ich jeno pozostawała jeszcze do wojny światowej w Towarzystwie Gospodarskiem, gdyż jedynie przez nie otrzymywały wsie ruskie stacje zarodowe bydła i świń. A obecnie rusini należą jedynie do rolniczych stowarzyszeń ruskich „silskiego hospodara" i „spiłok mołoczarskich". Co gorzej, do ruskich spółek mleczarskich należy coraz więcej polskich włościan.

Przed wojną światową społeczeństwo polskie miało stanowczą nad ruskiem przewagę w pracy kulturalnej, oświatowej i gospodarczej. Dziś jest naodwrót.

A uzyskują przewagę nad polskiemi ruskie spółki i stowarzyszenia włościańskie przedewszystkie dzięki temu, że w każdej wsi ruskiej jest kościół unicki i rodzina żonatego proboszcza, którego dzieci są naturalnymi prowodyrami młodzieży włościańskiej.

Rusini posiadają liczną, ściśle od wielu pokoleń zespoloną z ludem, znakomicie znającą jego życie, potrzeby, dążenia inteligencję wiejską. A my posiadamy inteligencję wyłącznie niemal miejską i dworską.

Nasza cywilizacja jest wyższa intelektualnie, ale cywilizacja ruska jest bardziej ludowa. I dla ludu ruskiego większy ma „urok" niższa, biedniejsza, ale nieskończenie mu bliższa cywilizacja probostw ruskich i ukraińskich „popowiczów", niż wysoka, ale zbyt odeń odległa cywilizacja polskich dworów i miast.

Lat temu czterdzieści byt rodziny parocha zależał przedewszystkiem od dobrego stosunku z dworem. I byli wtedy księża ruscy pośrednikami między polskiem ziemiaństwem, a ludem ruskim, łagodzili przeciwieństwa wsi i dworu, jeździli na odpusty księży polskich.

Ale od lat 30 dwory traciły i tracą wskutek parcelacji siłę gospodarczą a rośnie dobrobyt włościan. Byt rodzin parochów zależy coraz bardziej od zaufania do nich wsi, a nie dworu.

Rośnie od początku obecnego stulecia wśród duchowieństwa ruskiego i pochodzącej przeważnie z rodzin księżowskich inteligencji ruskiej radykalizm społeczny i separatyzm ukraiński, na tradycjach hajdamaczyzny oparty.

I rośnie on po wojnie światowej szybciej jeszcze, niż rósł przed nią — bo poprzednio otrzymywał podnietę od obcych ludowi ruskiemu Niemiec, a dziś otrzymuje ją od naprawdę mu pokrewnej rasą, językiem, obyczajem autonomicznej Ukrainy Kijowskiej.

By powstrzymać wzrost separatyzmu ukraińskiego wśród ludu ruskiego i wytworzyć w nim dążenie do zespalania się z Polską — trzeba dać cywilizacji polskiej nowy jakiś urok, nową siłę przyciągającą, jakich nie posiadała w ostatnich dziesięcioleciach i nie posiada obecnie.

Dziś, gdy najsilniejszem dążeniem mas włościańskich, zarówno ruskich, jak polskich jest dążenie do wydźwignięcia siebie i swego potomstwa na wyższy poziom w hierarchji społecznej — urok prawdziwy w oczach ludu ruskiego mieć będzie cywilizacja polska tylko w takim razie, jeśli polskość będzie znamieniem wyższej prawno-społecznej sytuacji, jeśli życie codzienne podkreślać będzie wyraźnie i silnie fakt, że naród polski jest panującym i że dla zdobycia przywilejów narodu panującego jedyna jest droga: stać się Polakiem.

Ale p. Rembieliński poucza, że „wykonywanie praw politycznych jest obowiązkiem nie przywilejem".

Śliczna to zasada. Ale jeszcze piękniejsze jest przykazanie: Kochaj bliźniego, jak siebie samego. A jednak ogół ludzi więcej kocha siebie od bliźnich. I w ciągu tysiącleci dziejów stany, klasy, stronnictwa, grupy etniczne walczyły o prawa polityczne nie dla spełniania obowiązków, lecz dla zyskania przywilejów.

W polityce trzeba patrzeć na życie jasno i trzeźwo.

Patrjotyczna nasza opinja niepokoi się oddawna we Lwowie, a od pewnego czasu i w Warszawie ruszczeniem się starostw, sądów, poczty, kolejowych urzędów, kuratorjów w Małopolsce Wschodniej i przechodzeniem w niej coraz większych przestrzeni ziemi z rąk polskich w ruskie.

Ale póki podstawą ustroju państwowego Polski będzie nadal równość praw politycznych ludności ruskiej, białoruskiej, żydowskiej, litewskiej, niemieckiej, z prawami narodu polskiego — nie da się żadną miarą zapobiedz, by w województwach o większości niepolskiej ludności nie przechodziła większość parcelowanej ziemi w ręce niepolskie i by z czasem w tamtejszych urzędach, szkołach, przedsiębiorstwach państwowych nie było więcej rusinów, białorusinów wraz z żydami, niż Polaków.

Wystarczy nieco się tylko nad tem zastanowić, by zrozumieć, że my, małopolanie wschodni, nie odstąpimy dla żadnej doktryny od żądania prawnego zabezpieczenia przewagi głosu polskiego i w samorządach lokalnych i przy wyborach do ustawodawczych władz państwowych nad głosem niepolskich narodowości — a zrozumiawszy to — przyznać nam rację.

Lwów STANISŁAW GRABSKI

DWUTYSIĄCLECIE WERGILJUSZA

URODZIŁ się Wergiljusz w r. 70 przed Narodzeniem Chrystusa, z czego wynika, że nasz rok 1930, z dniem 15 października, stanie się rokiem dwutysiącznym zadziwiającego życia tego poety. Data jego fizycznej śmierci nie obchodzi nas teraz, tak jest małoważną, ciekawszą jest biografja doczesna autora „Eglog", „Georgik" i „Eneidy", najciekawszą jednak zdumiewająca karjera poety po śmierci jego i starożytnego świata, w okresie średniowiecza zwłaszcza a też i dziejów nowożytnej Europy aż po nasze czasy.

Dzięki swojej czwartej „Eglodze" i jej „*magnus nascitur ordo*", Wergili zyskał sobie połączone sympatje chrześcijan i tych, którym spuścizna klasyczna była drogocennym skarbem. Uznany za proroka wskutek przepowiedni o nowym porządku świata, został niebawem przez ludową wyobraźnię średniowieczną posunięty do rangi maga i czarownika; dzięki asocjacji dźwiękowo-pojęciowej zmienił nawet w łacińskim świecie swoje nazwisko i stał się Wirgiljuszem od łacińskiej *virga.* Może jest trochę północnego barbarzyństwa w naszem polskiem sumieniu filologicznem, które wciąż koniecznie chce przywrócić jego rzymską samogłoskę „e".

Z Dantem i Petrarką Wergili przekracza triumfalnie próg Renesansu i do XIX-go wieku dochodzi w glorji klasyka. Aż wreszcie z wiekiem XX-tym i rosnącą samowiedzą narodową Italji, odnajduje pełnię życia i traci chłód klasyka na rzecz stanowiska wielkiego poety narodowego, któremu nic, co italskie, obce nie było...

Z tych wszystkich powodów rocznica obecna zapowiada się niezwykle bogato i odznacza się tem, że połączy hołdy narodowe z międzynarodowemi. Drugą cechą jej ważną i zasadniczą jest projektowane sięgnięcie ponad głowy uczonych

specjalistów do zainteresowań szerokich warstw czytelniczych.

Prym w tym chórze trzymają oczywiście Włosi, a między nimi „krajanie“ poety, Mantuańczycy. W programie znajdujemy tu bibljofilskie wydanie dzieł Wergilego z drzeworytami w tysiącu egzemplarzy, przeznaczonym do rozesłania między akademje i uczonych całego świata; tom „*Studi Virgiliani*“ stojący otworem i dla pozawłoskich badaczy; wreszcie zjazd międzynarodowy uczonych badaczy tekstu wergiljańskiego, zwołany na dzień 15 października. W Neapolu tworzy się drugie centrum uroczystości ze względu na pośpiesznie restaurowany grobowiec poety, jak też i równie gwałtownie odnawianą jaskinię Sybilli Kumejskiej; tu również ukaże się tom „*Mèlanges virgiliens internationaux*“. Turyn zapowiada specjalny tom „*Studi Medioevali*“ poświęcony średniowiecznej historji Wergilego, zaś Medjolan fototypiczne wydanie „*Virgilius Petrarcae*“, egzemplarza dzieł poety, annotowanego przez Petrarkę.

Rzym przejawia najlepiej zainteresowanie się faszyzmu naszym poetą. Najważniejszym jest tu cykl odczytów, odbytych już w r. 1929, które złożą się na publikację, wydaną w r. 1930. Znajdujemy tam m. in. odczyty Giuseppe Bottai: „*L'esaltazione del lavoro nell'opere di Virgilio*“ (gloryfikacja prac w dziele Wergilego), profesora Pietro Fedele, senatora i b. ministra oświaty: „*Il richiamo allo terra nell'ammonimento pesenne di Virgilio*“ (Wołanie o nawrót do ziemi wieczną troską Wergilego), Carlo Galassi Paluzzi'ego: „*L'idee latine á la latinite di Virgilio*“ (Idee łacińskie i łacińskość Wergilego), wreszcie Senatore Guido Mazzoni'ego, zasłużonego dantologa: „*Cio che Virgilio fu per l'Italia*“ (Czem był Wergili dla Włoch). Warto też zanotować inicjatywę samego Mussolini'ego, który rozpisał konkurs dla uczniów klas wyższych szkół średnich na temat przez siebie wybrany: „*L'Insegnamento agrario di Virgilio e la politica rurale del Fascismo*“ (Doktryna agrarna Wergilego i polityka agrarna faszyzmu).

Poza Włochami możemy również zanotować już dziś szereg zamierzeń jubileuszowych, które się napewno jeszcze pomnożą i skonkretyzują. Belgja zapowiada uroczystości w uniwersyteckich miastach w Gandawie, Liège, Brukseli i Lowanium, publikacje, odczyty i wykłady. Francja wybrała ciekawą datę 25 marca dla uroczystości w *Collège de France*; jest to data spotkania się Dantego i Wergilego u progu *Inferna*. Hiszpanja dała się, jak dotąd, wyprzedzić Katalonji: jakoż Barcelona zapowiada szereg wykładów oraz wydanie „*Appendix Vergiliana*“ nakładem *Fundacio Bernet Metge*. Rumunja ogłosiła dwie nagrody na dwa tematy: o wpływie Wergilego na któregokolwiek pisarza rumuńskiego oraz o tłumaczach Wergilego na rumuński język.

Niełacińskie narody zabrały się już też do święcenia rocznicy. Anglja organizuje odczyty — i podróże. *Hellenic Travellers Club* przygotowuje w kwietniu pielgrzymkę do Calvisano koło Brescii pod przewodnictwem prof. R. S. Conway; mieści się w tym projekcie uczony atak na tych wszystkich, co Mantuę uważają za rodzinne miasto poety... Holandja zapowiada uroczystości w Amsterdamie i Leydzie, Szwecja w Göteborgu. Wybitny udział w uroczystościach zgłosiła Czecho-Słowacja: „Jednota czeskich filologów“ wyda tom poświęcony wpływowi poety na Czechy, zaś „Społeczność przyjaciół starożytnej kultury“, zapowiada cykl odczytów; uniwersytet ludowy praski podzieli się również Wergilim ze swoimi słuchaczami.

Ameryka, t. zn. Stany Zjednoczone postanowiły wszystkich pobić. Ustanowiono tam oto trzydzieści sekcyj obchodowych, które zajmą się odczytami i wykładami, prasą i radjem, pocztówkami; współdziałaniem z organizacjami klasycznemi i nieklasycznemi; współdziałaniem z imprezami zagranicznemi; obchodami szkolnemi; przedstawieniami teatralnemi i kinem; medalami; pielgrzymkami do miejsc wsławionych przez Wergilego. Ramy wspaniałe, łatwiejsze bodaj do ustawienia niż wypełnienia.

Jak się przedstawia w tym szeregu udział Polski? Artykuł prof. Vincenzo Ussani'ego, z którego wyjmuję dane powyższe („*Coopèration Intellectuelle*“, 15 lutego 1930) zamieszcza tylko chudą wzmiankę o tem, że poznański kongres filologów klasycznych obradował nad wydaniem tomu studjów wergiljańskich. Wiadomość tę możemy jednak dopełnić dalszą wiązanką faktów. Jest, o ile wiemy, komitet obchodowy, na którego czele stoi prof. Ganszyniec. Udział swój we włoskich tomach zbiorowych obiecał również X. prof. Konstanty Michalski, pracujący nad rolą Wergilego w „Boskiej Komedji“.

Najpiękniejszą jednak pozycją wergiljańską w Polsce pozostanie książeczka, świadcząca o tem, żeśmy nie czekali rocznicy, by się autorem „Eneidy“ zająć z polskiego punktu widzenia. Napisał ją przed paru laty prof. Chrzanowski, pod tytułem „Czem był Wirgiljusz dla Polaków po utracie niepodległości?“ Praca ta doczekała się obecnie trzeciego wydania i przekładu na język włoski.

Ta piękna rola Wergilego w Polsce, nakłada na nas i dalsze obowiązki. Nie wątpimy, że posypią się prace i przyczynki naukowe. Winniśmy jednak dbać i o co innego, o zainteresowanie szerszych warstw czytelniczych poetą samym i, zwłaszcza, jego zadziwiającą karjerą dwutysiąletnią, u kresu której, po dwudziestu wiekach, obudził się poetą narodowym zjednoczonej i faszystowskiej Italji!

Kraków WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

O MICKIEWICZU I TOWIAŃSKIM, TUDZIEŻ O BRONZOWNIKACH I BRONZOBURCY

UWAGI NA CZASIE (Ciąg dalszy)

A TERAZ Ksawera, najcięższy pocisk z działobitni Boya. Zgodnie ze swem pojęciem, że „ludzie żywi“ to dopiero ci, w których się dostatecznie wyraźnie okaże owo „błoto ziemi“, pratworzywo rodzaju człowieczego, i zgodnie ze swą koncepcją Mickiewicza jako odchłani, w której się kłębią rozpętane żywioły, namiętności i cierpienia,— dobrał się Boy do tej ostatniej „groźnej niepogody“, którą namiętność, jak burzliwa fala, rzuciła na serce starego poety, a która ustępując, nie zostawiła już na wybrzeżu ni pereł, ni korali.

Pękła bomba sensacji. Wie już w Polsce, kto chce i kto nie chce, że Ksawerę Deyblównę łączył stosunek miłosny z Mickiewiczem, że była matką jego nieślubnego dziecka. Nareszcie Mickiewicz będzie mógł wejść do panteonu „ludzi żywych“.

O grzechu jego plotkuje się dziś po domach i na rynkach miast. Na nic konspiracja milczenia tylu pokoleń, na nic cicha zmowa całej falangi „mickie wiczologów“. Na tych zwłaszcza wali Boy ostre gromy: umyślnie taili, spiskowcy, co innego mówią publiczności, a co innego szepcą sobie na ucho; wiedzieli a nie mówili!

Jest w takiem stawianiu sprawy oczywista przesada; sprawa naprawdę wygląda trochę mniej strasznie. Wiedzieli? Wiedzieli i nie wiedzieli. Wiedzieli akurat tyle, ile wie dziś Boy. Tylko że więcej od niego mieli skrupułów; co najmniej tyle skrupułów krytycznych, co i obywatelskich. Przecież, powiedzmy sobie, jeżeli z całego kompleksu świadectw dochowanych, tyczących tej sprawy, wydmuchnąć pośląd niewyraźnych napomknięć, poszlak, mało uchwytnych *on dit*, (mówię o stanie rzeczy z przed 1930 r.), naprawdę zostawały na placu dwa jedynie tęższe ziarna, dwie wzmianki w zapiskach Goszczyńskiego. Jedna z czerwca 1849 r. o tem, że Ksawera właśnie, „jak mówią“, w Nanterre odbyła połóg i że Mickiewicz jakoby, („mnie się zdaje“) również się tam znajduje. Druga z lipca 1858 r. informuje, że Ksawera (już Mainardowa) zgłosiła się do Wł. Mickiewicza o fundusz na wychowanie „dziecka twego ojca“, że dziecko to urodziło się w r. 1847 (a więc nie 1849?) i że „rozpuszczano“, jakoby ojcem jego był Mickiewicz. Krok Ksawery nazywa Goszczyński „rzadką bezczelnością“. Oto i cały pewny tej sprawy fundament, nie bez sprzeczności sam w sobie i nie bez osłabień ze strony świadka. Czy naprawdę trzeba się dziwić, że siaki taki z biografów nie chciał na nim budować i nie odważył się zawołać w tym wypadku: „raka!“.

Zresztą — może. Niema co przeczyć wypadkowi, można by go już przyjąć nawet na wiarę Boyowi. Chociażby dlatego, że nie każdy chyba podzieli jego egzaltowany nieco pogląd, jakoby Ksawera była w życiu Mickiewicza „tem, co najważniejsze“ i jakoby jej wydobycie miało dać prztyczka „waszej wieloletniej krztaninie“. Zaniedbanie tego rozdziału w biografji poety — nie jest jeszcze zbrodnią wołającą o pomstę. Nie każdemu przecież musi być ponętna sukcesja po Hoesicku. Niewątpliwie zaś z twórczością literacką Mickiewicza Ksawera nie ma związku najmniejszego.

Nie przypuszczam też, żeby (rzeczywiście nie napisana jeszcze) anegdotyczna historja towianizmu Ksawerze właśnie przyznała najprzedniejsze miejsce. Kobiet podszytych histerją przesunęło się przez dzieje Koła paryskiego znacznie więcej; koleje i rola innych były kto wie czy nie bardziej interesujące; wybijały się przedewszystkiem: siostra Alix Mollard, jedna z głównych ról w rozłamie 1846 r., a zwłaszcza siostra Marja Lemoine (Rutkowska), egzemplarz — jak się sama odsłania w swej interesującej spowiedzi — iście balzakowski. Oczywiście i Ksawery nie będzie można niedoceniać. Odgrywały kobiety w Kole paryskiem rolę rzeczywiście znaczną, większą niż potrzeba,— i nie jest to tajemnica; pisał o tem Szpotański w II tomie swej monografji dość wyraźnie. Ale też prawdą jest i pozostanie, że towianizm jako ruch społeczno-moralny komerażami kobiet nie da się przyrzucić; właśnie jak i w saint-simonizmie komeraże takie nie zasłaniają dziejowego znaczenia idei i ruchu.

Wśród uwag o towianizmie jest w „Bronzownikach“ jedna bardzo trafna i ważna: — właśnie wskazanie filjacyj jego z saint-simonizmem. Sprawa ta rzeczywiście winna być zbadana osobno. Szpotański rozpatrzył w tym związku ideologję Domku Pańskiego, na towianizm łączności tej nie rozciągnął. Boy wziął jednakowoż sprawę zbyt, jak się zdaje, wąsko; ogniwa podobieństwa między oboma kompleksami dopatrzył się jedynie w poglądach na stosunek płci, na reformę kwestji kobiecej, no i właśnie szukał go w odmętach atmosfery erotycznej. Zahaczenia atoli były bodajże znacznie szersze, sięgały form życia organizacyjnego i ideologji społecznej (np. poglądów na własność), to znaczy tyczyły się tych stron towianizmu, które Boya właśnie nie obchodzą.

6. Sąd Boya o Towiańskim przeszedł w tak krótkim czasie całą ewolucję. Jeszcze w Przedmowie obezwał on go wprawdzie raz „znachorem”, to znów wyrzucał mu, że zabił w Mickiewiczu komedjopisarza; ale przed posądzeniem o tartuferję jeszcze się cofnął. W „Bronzownikach“ nie dość, że się już nie cofa; nie dość i tego, że sobie pokpiwa z „mistycznego Jenialkiewicza“. Chwilami bierze tu autora pasja, że gotów lżyć Towiańskiego iście po koszarowemu; w pewnych postępkach swoich wydaje mu się mistrz „skończonym bydlakiem”, a koło jego zwolenników w Paryżu „splotem mistycznego sadyzmu“.

Do tego ataku, w słowach, jak widzimy, nie przebierającego, obrał sobie Boy dogodną pozycję wypadową. Występuje mianowicie jako *advocatus diaboli*, którego programowem zadaniem jest zebrać jak najwięcej świadectw przeciwko sądzonemu, a żadnych za nim. Taki adwokat, — jak twierdzi Boy trochę nieściśle, — „oddawna tutaj nie miał głosu“. Byłoby wszystko w porządku, gdyby się w tej roli zechciał utrzymać. Nawet z korzyścią mogłoby być takie zebranie w jeden kompleks wszystkich uchybień, defektów podsądnego mniej czy więcej rzeczywistych, a nawet insynuacyj czy zgoła oszczerstw, jakich mu nie szczędzono współcześnie (np. że był ajentem rosyjskim i t. p.); niechże się sędziowie z niemi uporają. Godziłoby się jednak przytem co najmniej zaznaczyć, że owszem i *advocatus angeli* może tu mieć swój głos. Procedura sądowa byłaby całkowicie poprawna.

Cóż. kiedy Boy nie utrzymał się w pozycji adwokata; wyraźnie porzuca swą raz obraną trybunę, zaraz po przemowie zajmuje miejsce wśród trybunału i z krzesła prezydjalnego feruje wyrok. Żeby to tylko. Mędrzec przybiera ton proroka i skazuje za zbrodnie, które dopiero kiedyś zostaną dowiedzione. Trochę niesamowita taka sprawiedliwość. „Co do mnie, — orzeka *advocatus*, apodyktycznie i trochę gołosłownie — jestem przekonany, że... apologja towianizmu wymaga gruntownej rewizji i że rewizja ta może nam przynieść... niespodzianki, większe może niż te, które zburzyły legendę matki Makryny Mieczysławskiej“. Surowo! Jak wiadomo, Mieczysławska okazała się oszustką. Strach pomyśleć, czem dopiero okaże się Towiański. Rzeczywiście należałoby w takim razie rewizję przeprowadzić co rychlej. Tylko czy to „przekonanie” Boya dostatecznie ugruntowane? Czy nie wyjdzie tak jak z filomatami?

Gromi Boy „bronzowników“ Towiańskiego, że pomijają „stronniczo wszystkie niemal współczesne relacje”. Choć się nie śpieszę do roli adwokata anielskiego, może jednak nie zawadzi, że na próbę

przytoczę tu choć nieco z tych świadectw współczesnych, które Boy w bezstronności swej, „pod znakiem“— jak mówi — „szlachetnej pasji poznania”, pominął, gorzej, ani słówkiem nie wspomniał, że są. Oto najpierw, co o naszym „mistycznym Jenialkiewiczu” sądził współcześnie cudzoziemiec, człowiek światły, zgoła nie towiańczyk, a świadek bezpośredni, naoczny. Filozof szwajcarski Lébre tak charakteryzuje Towiańskiego w dzienniku swym w r. 1843:

„Jest to człowiek nadzwyczajny. Wszystkie idee tego stulecia są w nim. Jest wcieleniem ducha swego czasu, ma wszystkie wielkie instynkty w wielkiem sercu; włada potężnie słowem, góruje duchem. Jego wiedza, jego jasnowidzenie, jego moc, są nadludzkie, albo lepiej: wykazują człowieka w stanie wyjątkowym, nowym, nie ekstatycznym, ale egzaltowanym, egzaltacją pełną słodyczy i energji... ten człowiek... jest wspaniały nakazem, słodyczą i skromnością.., myśl jego jest zupełnie natchniona dobrocią, ale dobrocią bohaterską. Takimby powinien być człowiek, gdyby nie był grzesznikiem... Cóż to za człowiek! Piękny charakter, wzniosły wpływem, jaki wywiera na swych uczniów, ich przemianą moralną...“ No, można już przerwać to posłuchanie; czas na drugiego świadka,

Warto przypomnieć (choć uczynił to niedawno Ign. Chrzanowski), co sądził o Towiańskim i towianizmie arcybiskup Feliński, który za młodu, bawiąc wśród emigracji i przyjaźniając się blisko ze Słowackim, przypatrzył się ruchowi także na własne oczy, nie był do niego specjalnie dodatnio uprzedzony, a na starość, na stolicy arcybiskupiej zapewne też pokątnej dewocji towianizmu nie uprawiał. Surowo sądzi on błędy i mętności dogmatyczne Towiańskiego, ale nie tai uznania dla jego podniosłości moralnej: „Nikt zapewne z czytelników” — czytamy w „Pamiętnikach“, —„nie spodziewa się usłyszeć apologji towiańszczyzny z ust katolickiego biskupa; są w niej błędy dogmatyczne niezmiernej nawet doniosłości,—ale są też i wzniosłe prawdy, z których i najlepszy katolik może się zbudować... Śmiało rzec można, że pod względem wewnętrznego odrodzenia kraju, wpływ towianizmu na polskie społeczeństwo zbawiennie tylko mógłby oddziałać“.

Wolno mniemać (wieszczba — za wieszczbę), że jeżeli sprawa Towiańskiego wytoczy się kiedy przed trybunał odwoławczy historji, tedy sentencja wyroku pójdzie zapewne po tej właśnie linji: zbada się tam źródłowo i oceni ten kompleks wyobrażeń, wiar, spekulacyj, jaki się złożył na swoistą dogmatykę towianizmu, ale moralnych znamion ruchu chyba się wiele nie nadwyręży.

O ile zaś chodzi o Koło paryskie, o to rzekome pandemonjum „mistycznego sadyzmu“, przytoczymy znowu sąd współczesnego świadka, którego ani o łatwowierność ani o zbytnią pochopność uznania nikt zapewne nie posądzi, mianowicie zdanie ks. Semenenki z r. 1843 w liście do towarzysza zakonnego, ks. Hubego:

„Żal tych ludzi, szczery żal, bo prawdziwie tak się wszyscy poprawili w życiu, tak chcą żyć Bogiem, tak pracują w duchu. Są ciągłem dla nas (t. zn zmartwychwstańców) zawstydzeniem i ciągłą pobudką do wiary, do powagi ducha, do życia w duchu, do miłości Bożej coraz większej”.

Utyskuje Boy, jak to fatalnie wyszło, że naukowo zajmowali się dotąd towianizmem ludzie „pozbawieni zupełnie poczucia humoru“. Może to było i niedobrze. Niema jednak dwóch zdań, że znacznie wyjdzie gorzej, jeśli się do niego zabiorą amoraliści i ludzie pozbawieni zmysłu religijności, inwalidzi duchowi. Tam to dopiero znajdzie dla siebie szerokie pole ten wybieg instynktu, o którym właśnie z powodu Przedmowy Boya pisał niedawno prof. H. Elzenberg [1]).

Po tej orjentacji w „towianologji“ Boya wróćmy na chwilę jeszcze do jego uwag o Mickiewiczu. Nie można się zmusić do milczenia wobec jednej oburzającej — powiedzmy — swawoli. Krytyk próbuje mianowicie wytłumaczyć sobie w życiu Mickiewicza tajemnicę tego nagłego i głębokiego przewrotu, którego sprawcą był właśnie Towiański. W jakiejżeż to chwili przyjął go Mickiewicz? W okropnej. Życie emigracyjne stało mu się było piekłem, życie domowe, pożycie z żoną — piekłem. Właśnie pośród piekła tego zjawia się zwiastun i „temu potężnemu, a przygiętemu przez życie człowiekowi, w którym zdławione siłą woli wrzące namiętności, skryte są, jak ogień pod lawą“,— przynosi „nowe słowo“.

Któż wie — pyta Boy, — co mieściło w sobie naprawdę to słowo? Towiański mógł się rychło zorjentować w stosunkach domowych Mickiewicza. Może więc było ono „objawieniem nowego zakonu wolności,... nową formułą życia, która temu, tak głęboko religijnemu i prawemu człowiekowi, jakim był Mickiewicz, pozwoli głód szczęścia pogodzić — z sumieniem?“ Zrozumiałe? Kto jeszcze nie zrozumiał, temu dopowie resztę zdanie z sąsiedniej stronicy: „Otóż w tym samym czasie... Xawera wchodzi — niewątpliwie z poręki Towiańskiego — pod dach poety“.

Jakże się wam podoba ten mistrz - stręczyciel i ów drugi, „głęboko religijny i prawy człowiek“, któremu do zaspokojenia sumienia potrzeba było tak niewiele! A cała ta potworność na czemżeż oparta? Właśnie że na niczem. Co ją uzasadnia? Namiętność przyrodzona Mickiewicza? Ależ ten człowiek miał też namiętność do rzeczy wielkich, wzniosłych i czystych. Przyjął „nowe słowo“ wiary, która od lat była jego niewygasalną namiętnością, wiary w to, że zmienione zostanie oblicze świata, że dokona się nagle wielka naprawa dusz. Dlaczego w całym tym wypadku to nastawienie psychiczne nie ma być najważniejsze, jedynie ważne i dostateczne do wytłumaczenia kroku Mickiewicza? Przecież ono jedynie ma za sobą potwierdzenie w wyznaniach jego najszczerszych. Skądże to przypuszczenie, że Mickiewicz oszukiwał siebie i drugich, oszukiwał przez tyle lat?

Stawiając tę hypotezę, przypuszcza Boy, że rzuca „nowe światło“. Trzeba rzeczywiście dużo powściągliwości, żeby sądu swego o takiem „świetle“ nie znamiętnić w słowa twarde, a starać się przejść koło niego jak najśpieszniej. W każdym razie, jeżeli z komentatorami Mickiewicza,—jak Boy doradza, — będzie się nabijać do bronzowej armaty również i komentarze, niechże ten wytwór „namiętnego czciciela poety“ nie będzie zapomnianym. Im wcześniej, tem lepiej.

(Dok. nast.) STANISŁAW PIGOŃ

---

[1]) Wielkość i my. „Droga“ 1929, nr. 6.

NA WIDOWNI

Człowiek—żywy krzyż. — Krzyż na rozdrożu. — Przemiana uspołeczniająca. — Praca wewnętrzna nie jest ofiarą. — Ramiona krzyża—to symbol miłości.—Krzyż w polu pracy—to herb obywatelski. — Święto zmartwychwstania.

KRZYŻ — znak wiary w życie niegasnące, zwycięzca śmierci, znak wiary, pokonywającej cierpienia i rozkosze samolubne, uświęcającej mus życia obowiązkiem moralnym.

W kulturze swojej mamy żywy ten symbol. Im wyższy szczebel rozwoju, tem naturalniejszą staje się potrzeba wcielania ducha w życie wbrew pierwotnym jego popędom wymijania cierpień i szukania szczęścia w nirwanie. Idea chrześcijańska naszej cywilizacji — to pokonywanie śmierci: przez grób do życia!

Krzyż rzuca cień na całą ziemię właśnie od tej zorzy, która wschodzi za górą śmierci. Każdy człowiek rzuca od siebie cień krzyża, jak rozpięty szkielet. Umęczony w sobie, pogrzebawszy swoje nieograniczone „ja" z dążeniami bezwzględnego szczęścia, zmartwychwstaje w gromadzie, jako twórca życia pełniejszego, dążącego do szczęścia wszystkich.

Nie każdemu świadome są męki wewnętrzne. Ale ludzkość wyczuła sercem, a przez swoich poetów i twórców religji wypowiedziała tajemnicę, polegającą na zrzekaniu się i ofierze na rzecz wyższego życia moralnego. Patrząc na rzeczy ze stanowiska dokonanej przemiany, dusza coraz radośniej niesie krzyż swego człowieczeństwa.

Człowiek na pewnym stopniu rozwoju duchowego dochodzi do rozdroża krzyżowego, które musi pracą wewnętrzną syntetyzować, aby mieć drogę życia sumieniem określoną i prawem środowiska.

Kiedy już wysoko nad ziemią się znalazł w rozwoju swoich sił duchowych i doznaje od skrzydeł wrażenia, że kierunek tylko mu w górę przeznaczony, że oko w oko zmierzy się bezpośrednio z bezwzględnością, jak Konrad, wyzywający Bogą do walki,—wtedy instynkty życia przywodzą go do upamiętania. Wszystko, co masz boskiego—mówią mu one — zawdzięczasz swemu człowieczeństwu. Wybieraj między życiem w służbie chwili, a rozkoszą osobistą wyzwalania się z więzów życia na potrzebę ducha, który tęskni do absolutu.

Wyższej miary duchy mają mękę tego typu. Linję ich ducha, strzelającą pionowo płomieniem tęsknot i porywów *excelsior*, metafizycznych, niemiarkowanych względami na cokolwiek obok, przecina pod kątem prostym linja „pozioma" względności, warunkowości, ograniczoności, doczesności. I to jest krzyż, na mniejszej lub większej wysokości przez każdego doświadczany.

Ze skrzyżowania tych dwu kierunków tam, gdzie ich przecięcie, powstaje w człowieku zaród życia moralnego, określający wypadkową tamtych dwu sił—kierunek pełnego człowieka. Dusza typu moralnego nosi w sobie w tem znaczeniu Golgotę i grób. Sumienie, od którego poczyna się człowiek moralny, jest grobem, w którym legł Konrad, grób ten jednak staje się kolebką nowego życia.

Mówiłem o najwyższym typie ducha poetyckiego, stającego się terenem walk wewnętrznych i umiejącego widzieć swoją duszę. Jest jednak cała skala duchów do najniższych, ślepych, które tę przemianę przebywają, nie wiedząc o niej, a nawet wbrew swej woli. Uspołecznianie się duszy jest żelaznem prawem kultury europejskiej. Cały ustrój naszej duszy społecznej jest w znaku tego krzyża; taki jest typ krystalizacji kultury chrześcijańskiej zachodnio-europejskiej, poczęty w świadomości w czasach antycznych, typ przekreślonej w krzyż jednostki.

Że ten proces przedstawiamy sobie jako mękę i ofiarę, że go tak nazywamy,—to przeżytek dawnej psychologji i dawnego słownictwa. Jest to bowiem tylko przemiana na rzecz wyższego typu życia, proces naturalny i zbawczy. Staje się on męką dla tych, dla których praca wogóle jest męką.

Sumienie ludzkie jest aparatem nie męki, lecz pracy wewnętrznej. Każde przełamanie się wewnętrzne dla ducha opieszałego bywa męką, dla gorliwego — triumfem radosnym i rozkoszą. Jest to więc sprawa stanowiska, z jakiego na odrodzenie patrzymy: czy patrzymy na nie z przed progu przemiany, czy też ze stanowiska nowego.

Męka i ofiara należą do dziedziny pojęć religijnych, a pozatem do sfery ustrojowego, bezwolnego liryzmu, dostępnego każdemu sercu; w życiu społecznem te same akty ducha nazywają się inaczej i odbywają się bezboleśnie w wyniku pracy wewnętrznej. Ogólny stan ducha, tej przemianie towarzyszący — to nie męka i ofiara, lecz praca przystosowywania ducha do interesów życia całości.

Żelazne prawo krzyża nie przedstawia się tragicznie, nawet gdy przy odgłosach walki społecznej stosowane jest do jednostki, pragnącej bezwzględnej swobody swego „ja". Józef Supiński widział to prawo w całym wszechświecie, jako zmaganie się dwu sił: siły rzutu i przyciągania (rozkładu). W świecie ludzkim widział siłę rzutu jednostki, która się zmaga ze względami na życie gromadzkie. Jednostka składa ofiarę ze swych uroszczeń do bezwzględnego dochodzenia swego „ja" — na rzecz obowiązku względem całości.

O męce w znaczeniu cierpienia naogół nie może być mowy przy takiem zrzeczeniu, nie jest to bowiem akt negatywny czysto. Siła przyciągania do ludzi — symbioza jest przemożniejsza od siły rzutu indywidualnego, a tę przewagę daje miłość, czyniąca z każdego zrzeczenia akt pozytywny, pełen radości życia.

Ramiona krzyża — to znamię wszystko obejmującej miłości.

Obok krzyża ofiary, polegajacego na dobrowolnem zaparciu się swego „ja", obok krzyża czynu twórczego, stoją krzyże niskie przestępców prawa społecznego, jednostek przymusowo przekreślonych. Oprócz sumienia, praca ducha wytworzyła prawo społeczne, objektywne kary. Jednostki, niezdolne do pracy wewnętrznej, uważające ją za zbyt wielką dla siebie mękę, siłą interesu ogólnego są krzyżowane. Gdy ludzie wolni w duchu sami z radością idą na krzyż, gdy dusze, zdolne do skruchy, przekreślają winę pokutą, pozostaje kategorja złoczyńców, którym społeczeństwo stawia krzyże zbrodni, przekreślonej karą.

Z musem życia według praw, które wytwarzają zasadniczy krzyż w rysunku ducha ludzkiego, łączą się w jedno cierpienia, płynące z nieszczęść, któremi los doświadcza człowieka. Należą one bowiem do istoty życia. Jakkolwiek nazywać je będziemy: mękami, karami, pokuta to jednak ze sta-

nowiska pojęć o rozwoju ludzkim cierpienia muszą być uważane zawsze tylko jak etapy i konieczności pewnej p r a c y.

W pojęciach religijnych o utraconym raju bezwzględnej szczęśliwości i utracie jego z winy grzechu pierworodnego, widzimy jasną smugę pamięci tego raju; widzimy dalej przedłużenie tej linji, jako drogę dążeń ku odzyskaniu wiecznej szczęśliwości. A jasną tę linję przecina w krzyż nakaz życia pokutnego: „w pocie czoła twojego pracować będziesz”.

P r a c a jest zwrotnicą, regulującą drogę życia. Nazywamy nią wszelki wysiłek duchem uświęcony, to, co nią już jest w duchu ludzkim, zanim owoc widomy wyda. Praca jest pewnem przełamaniem się człowieka w woli z kierunku osobistego na społeczny. Pracą jest już ten krzyż wewnętrzny, nastawiający człowieka na drogę twórczą życia. Krzyż ten uczłowieczający tak dobrze Prometeusza, jak każdego robotnika. Krzyż, czyniący człowieka dobrowolnym sługą życia. Ten herb życia podnosi każdy trud, w tym duchu podjęty, każde pokonywane cierpienie do godności p r a c y t w ó r c z e j i w y z w a l a j ą c e j. Droga ludzka wiedzie pod górę i jest krzyżowa. Każda jest krzyżowa.

Krzyż, jako męka, jest symbolem duszy jednostkowej religijnej i poetyckiej, symbolem zatkniętym na tym rozstaju, gdzie dusza uczyniła rachunek z sobą... Ale odtąd zaczyna się pełniejsze życie człowieka. Dzieląc się swojem „ja” ze środowiskiem, rozszerza duszę; podporządkowując się, potęguje swoją indywidualność.

Krzyż na polu pracy jest herbem obywatelskim. Naród prowadzony przez taką szlachtę, do celu w swej wędrówce dochodzi niezawodnie. Jego droga krzyżowa — to droga pracy, będącej zawsze walką z przeszkodami. Jak jednostka, ugruntowana moralnie, nie łamie się od cierpień, tak i naród pokonywa przeszkody wtedy tylko, gdy jest wypracowany wewnętrznie. Każda przeszkoda, połączona z cierpieniami mas — to n o w a p r a c a wewnętrzna narodu i nowy etap jego rozwoju, zbliżający go do upragnionego ideału.

Święto Zmartwychstania dane jest tym, którzy w pocie czoła pracują dla życia, aby istniało. Wiosna nie wskrzesi życia tam, gdzie go nie było. Symbolicznie nic się nie dokonywa w świecie rzeczywistości. Cele ludzkie ziszcza praca. Zmartwychwstanie będzie jej świętem.

Jeśli chodzi o symbol, idea pracy, którą umysły niekulturalne poczytują za karę Boską, jawi się światu cywilizowanemu w znaku ogarniających ziemię ramion krzyża—znaku m i ł o ś c i i p r a c y.

Nie śmierci to znak, lecz tworzenia.

In hoc signo vinces!

23. IV. 1916

A propos. Szkicowany tutaj schemat zasadniczy psychologji społecznej ułatwi rozumienie „Legjonu“ Wyspiańskiego, teraz wystawianego w Warszawie. W męce krzyżowej Mickiewicza, która prowadzi wyobraźnię Wyspiańskiego, trzeba widzieć rozpięty poetycko na ramy metafizyczne ten właśnie proces uświadomień społecznych. W gigantycznych rozmiarach wizji religijno-poetyckiej Mickiewicza, dano nam widzieć powszednie misterjum uczłowieczania życia w duchu chrześcijańskim.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

SNOP ŚWIATŁA

ROMAN Dmowski ogłosił w szeregu dzienników jednocześnie wielkiej doniosłości artykuł p. t. „Sprawy rosyjskie“. Cały świat przeczytał go uważnie, zdając sobie z tego sprawę, że jest to enuncjacja polskiej opinji narodowej. Obóz rządzący w Polsce nie mógł nie uznać tez politycznych Dmowskiego, ale wprowadzały go one w silne zdenerwowanie. Musi przecież istnieć coś, co jest powodem tak djametralnej przeciwstawności obozu Piłsudskiego względem obozu narodowego. To coś sprawia, że prasa „sanacyjna“ gniewa się na Dmowskiego za pomieniony artykuł.

Dmowski utrzymuje, że obecnie polityką na świecie kierują aferzyści i komiwojażerowie. Niegdyś racja stanu pokrywała się z ambicjami patrjotycznemi, dzisiaj do złego tonu należy wyłamywać się z planów, dyktowanych przez złotą międzynarodówkę. To wszystko, co dziś agituje się w prasie na temat Rosji, jest echem narad finansistów, jakby się zabrać do eksploatowania przestrzeni, zajętych przez Sowiety.

Komiwojażer stał się naraz wojowniczy i to w czasach pacyfizmu, i snuje fantastyczne plany ujarzmienia Rosji, rozdając ją strefami poszczególnym państwom, a przedewszystkiem Polsce, która musiałaby w ekspedycji odegrać jako sąsiadka pierwszą rolę. Dmowski powołuje się na gazety i poufne relacje o naradach.

Oczywiście Niemcom w to graj. Ziściłby się ich plan odzyskania bezpośredniej z Rosją granicy za pomocą korytarza nadbałtyckiego, poczynając od Pomorza polskiego. Odżyje też plan niemiecki oderwania od Rosji Ukrainy. Znakomity interes.

Niechby tylko Polska zaangażowała się w awanturę, Niemcy zajęliby Pomorze i Śląsk, pomogliby Sowietom pobić ją, a potem wspólnie z Rosją urządziliby Polskę. Możnaby także polubownie za ustąpienie Pomorza pomódz zrobić Ukrainę.

Niemcy — powiada Dmowski — są złymi psychologami:

„Wiedzą z przeszłości ostatnich stuleci, że Polacy nie umieli rozróżniać pomiędzy wartością poszczególnych ziem dla państwa i jego przyszłości; nie wiedzą wszakże, że dla całego dzisiejszego pokolenia Pomorze jest najcenniejszą ziemią naszego obszaru państwowego, której utrata równałaby się utracie faktycznej niezawisłości państwowej. Wiedzą, że Polacy są narodem biernym, który umie przez długi czas pozwalać sobie ciosać kołki na głowie; ale nie wiedzą, że dotknięty do żywego lub poważnie zagrożony, naród ten umie się zdobyć na wybuchy niemałej energji. Nie wiedzą też, że g d y b y s i ę z n a l a z ł w P o l s c e p o l i t y k, k t ó r y b y w j a k i c h k o l w i e k o k o l i c z n o ś c i a c h c h c i a ł t r a k t o w a ć o u s t ą p i e n i u P o m o r z a, d o s t a ł b y k u l ę w ł e b, j a k a m e n w p a c i e r z u.

Podobnie by skończył każdy, któryby, idąc wbrew woli narodu, na jakiejkolwiek drodze wystawił Polskę na zmarnowanie tego, co po wojnie światowej odzyskała“.

Czyn Dmowskiego, dokonany w omawianym artykule, ma charakter rewizjonistyczny. Dusi nas atmosfera zakłamania, mianowicie ciągle się powtarza, że po wojnie zmieniły się stosunki, tymczasem nikt, zwłaszcza w naszych sferach rządzących, nie zada sobie trudu pomyślenia, na czem ta zmiana polega.

„Mamy dwóch wielkich sąsiadów: Niemcy i Rosję. Niemcy, pomimo katastrofy wojennej, przez którą przeszły, to wielkość bardzo określona i ich stosunek do nas jest bardzo wyraźny i zrozumiały dla każdego Polaka, który ma pod czaszką substancję, zasługującą na miano mózgu.

Natomiast Rosja przechodzi epokowej doniosłości przewroty, czyniące ją wielkością bardzo zmienną, wywołujące rewolucyjne zmiany w jej położeniu i wywracające do dna jej politykę. Nie mam tu tyle na myśli jej przewrotów wewnętrznych, ile niesłychanie doniosły przewrót w jej położeniu zewnętrznem, który się rozpoczął już w końcu zeszłego stulecia, a który dla nas pociągnął za sobą epokowe skutki. Osiągnęliśmy je dzięki temu, żeśmy w nielicznej, co prawda, sferze ten przewrót w czas jako tako zrozumieli".

Tutaj Dmowski rozwija w szkicowym obrazie historycznym dzieje Rosji nowożytnej, dążącej do opanowania stepów, z któremi i Polska długi czas walczyła. Opanowawszy je wreszcie, Rosja stanęła oko w oko z Japonją i Chinami. I teraz zaczęły się dla niej nowe zadania (od r. 1904—5), które ją zniewalają do likwidowania swojej polityki w Europie. Dla Polski wtedy otwarły się widoki wyzwolenia.

Punkt ciężkości polityki rosyjskiej przeniósł się na wschód, a ta okoliczność pociąga za sobą głęboką zmianę w stanowisku Polski względem Rosji:

„Kierownicy polityki rosyjskiej, jacykolwiek oni będą jakikolwiek system rządów będą reprezentowali, będą musieli coraz lepiej rozumieć, że najazd na Polskę nie może należeć do celów tej polityki, że przeciwnie w interesie Rosji leżą pokojowe stosunki z zachodnim sąsiadem.

Kierownicy zaś polityki polskiej zrozumieją to, co dziś dojrzalsza opinja w Polsce już dobrze rozumie, że w tem nowem położeniu, dla nas i dla całej Europy lepiej będzie, jeżeli Rosja będzie zdolna do obronienia się na wschodzie, jeżeli będzie posiadała potrzebną do tego siłę. A tego zadania byle siłami nie spełni.

Dawne tendencje do rozbijania Rosji stają się anachronizmem, z punktu widzenia polskiego i ze względu na przyszłość cywilizacji europejskiej. Polityka np. odcinania od Rosji wielkiej Ukrainy była w ostatnich dziesięcioleciach i może być dalej tylko polityką Niemiec, dążącą do zniszczenia Polski i Rosji, a zdradzającą interesy cywilizacji europejskiej. W ostatecznym rezultacie prowadzić ona może tylko do robienia Europy coraz mniejszym półwyspem Azji. Rosja bowiem ma przed sobą wielką rolę dziejową, rolę buforu między dwoma światami, europejskim i azjatyckim. Mały, słaby narodek tej roli nie spełni".

Łatwo zrozumieć wrażenie, jakie wywarły artykuły Dmowskiego. Społeczeństwo przyjęło je z uczuciem ulgi, jaką niesie powiew prawdy. Ciemności kłamstwa umyślnego i tego, które płynie z braku odwagi myślenia, lub z chęci podobania się głupim, zmęczyły Polskę, zatruły jej życie. Z drugiej zaś strony zrozumiałą staje się irytacja obozu „sanacyjnego", który wszystkie swe plany oparł na głupocie i tę społeczeństwu suggerował, każąc mu wierzyć, że jest społeczeństwem idjotów.

Dmowski poczuł się do obowiązku spuszczenia mętnej wody, w której połów tak obiecujący się zdawał „komiwojażerowi" naszych czasów.

ODCZYTY „MYŚLI NARODOWEJ"

ODCZYT PROF. JANA CZEKANOWSKIEGO

DN. 2 b. m. odbył się trzeci i ostatni odczyt z cyklu, organizowanego przez redakcję „Myśli Narodowej"; o „Podstawach rasowych Polski" mówił znakomity antropolog, prof. Uniwersytetu Lwowskiego, Jan Czekanowski.

Prof. Czekanowski wskazał, iż każda ideologja, wyrosła z założenia absolutnej równości, przejść obecnie musi kryzys bardzo znamienny. Kryzys ów wynika z pewnych, dawniej niedostrzeganych, a jednak zasadniczego znaczenia luk w rozumowaniu o nastawieniu demokratycznem. Przyjmowano mianowicie, iż różnice, które istnieją pomiędzy poszczególnemi typami ludzkiej rasy, są jakby nieistotne, w każdym bądź razie zbyt drobne, by brać je pod uwagę. Odchylenia rasowe od najbardziej ogólnego typu wydawały się twórcom doktryn demokratycznych raczej drugorzędne, przypadkowe — z odchyleniami takiemi w swojej koncepcji ustroju idealnego mogli się więc nie liczyć.

Poczynając od połowy ub. wieku zaznaczają się jednak w atropologji dwa zasadnicze kierunki. Pierwszy, typu liberalizującego — w dalszym ciągu usiłuje zaprzeczać uderzającym różnicom rasowym, w szczególności wyraźnej selekcji rasowej. Pogląd drugi stwierdza istnienie różnic rasowych, zasadniczych i znamiennych, stwierdza ponadto, że w selekcji tych typów zachodzą procesy zadziwiającej, niewzruszonej ciągłości.

Prof. Czekanowski przedstawił w zarysie antropologiczny podział ras europejskich. Na obszarze geograficznym Polski stykają się z sobą rasy: północno-europejska (nordyczna), śródziemnomorska i in. Przechodząc do zagadnienia selekcji tych ras na naszym terenie, prelegent cofnął się wgłąb historji, dzieląc dawne społeczeństwo polskie na warstwy mniej i więcej czynne. W rozwoju historycznym Polski udział najbardziej czynny brała warstwa szlachecka; najbardziej bierny — warstwa włościan. Badania antropologiczne wykazały, że w typie rasowym warstwy szlacheckiej przeważają elementy nordyczne. Historja najnowsza przyniosła nam inne (pozornie) ustosunkowanie warstw w narodzie; znosząc uprzywilejowanie, stworzyła pole i warunki dla nowej, swobodnej, najzupełniej dowolnej selekcji warstw społecznych. Wytwarza się więc powoli nowa warstwa — dziś już niewątpliwie decydująca o losach narodu — warstwa inteligencji. Otóż stwierdzono, że typ rasowy nowego inteligenta zbliża się zasadniczo i bardzo wyraźnie do typu szlacheckiego. Przewaga elementu rasowego nordycznego w tej nowej warstwie społecznej jest taka sama, jak w czasach dawnych w warstwie szlacheckiej. Proces selekcji pozostaje niezmienny również w zastosowaniu do warstw społecznie czy politycznie najsłabszych. Typ rasowy czerni Chmielnickiego (z t. zw. „mogiły kozackiej" pod Lwowem) jest niemal identyczny z dzisiejszym typem tamtejszego chłopa.

WYCHOWANIE NARODOWE

TAKŻE „OŚWIATA DOROSŁYCH"

WPADŁO nam w ręce pismo p. t. „Chcę poznać wszystko", dwutygodnik popularno-naukowy. Pismo wychodzi od 22 grudnia 1928 r., dotychczas ukazało się, o ile nam wiadomo 24 numery. Jako redaktor i wydawca podpisana jest p. Jadwiga Jędrzejewska.

Artykuły tego dwutygodnika zawierają „popularną naukę" zaiste dziwnego autoramentu. Są tam n. p. artykuły geograficzne o Brazylji, Argentynie i Indjach. Można się z nich dowiedzieć, że w Argentynie „obszarnicy i burżuazja zaprzestali walki wzajemnej i połączyli się do wspólnej walki z ruchem robotniczym i chłopskim" (nr. 24) albo że w Indjach „bogata szlachta, z dziką bezwzględnością wyzyskująca bezbronne masy ludu pracującego, opiera się na niezwykle licznem duchowieństwie, które przez tysiącolecia przyuczało ludność pracującą do pokory i absolutneo pgosłu-

szeństwa". Na nauce Gandhiego „zyskuje tylko burżuazja hinduska a z nią razem i rząd angielski" (nr. 21).

Czytelnik owego dwutygodnika poznaje również — historję. Tak n. p. w artykule o wyprawach krzyżowych (nr. 23) dowiaduje się, że „przyczyn tych wypraw należy przedewszystkiem szukać w ówczesnych stosunkach ekonomicznych, pchających łupieżcze rycerstwo na dalekie wyprawy rabunkowe". Można się tu również dowiedzieć o „prześladowaniach religijnych za czasów inkwizycji", a w szczególności, ilu w jakim kraju spalono kacerzy.

W artykule „społeczeństwa klasowe" mamy popularny wykład teorji walki klas. W artykule „Czego nas uczy powstawanie narodów", idea narodowa, podobnie jak religijna, przedstawiona jest jako jeden ze sposobów podszczuwania na siebie ludzi po to, by burżuazja mogła przeciwstawiać jedne masy pracujące drugim.

Są tu i powiastki odpowiednie, np. o „Starym Mateuszu", zawierająca porady techniczne dla organizacji proletarjatu wiejskiego (Nr. 23 i 24). Albo Blasco Ibaneza „Zemsta dzierżawcy" (nad ciemiężycielem bogaczem don Salvadorem) z soczystą sceną mordu przez zarżnięcie sierpem (Nr. 20).

„Chcę poznać wszystko" krytykuje ostro wszystkie partje lewicowe, nie wyłączając socjalistów. Tendencja komunistyczna aż bucha z tego organu „popularno - naukowego", przeznaczonego przedewszystkiem dla „biedoty wiejskiej".

Ze szczególną lubością atakuje się tu oczywiście duchowieństwo, np. w bluźnierczym artykule „O niektórych relikwiach" (Nr. 22), „O cudownych uzdrowieniach" (Nr. 20), „Spirytyzm", który to artykuł wymierzony jest przedewszystkiem przeciwko cudom (Nr. 22) i t. d. Komiczne wrażenie sprawia artykuł „O szopce i jasełkach" (Nr. 20), dający nową zaiste genezę dramatu religijnego. Według autora, p. Szczepana Kleńca, pierwotną formą jasełek — były widowiska przeciwko panom i księżom: „bywało, że na scenie ukazał się aktor, udający np. biskupa, znęcał się nad biedotą, oszukiwał bajkami o nagrodzie wiecznej na tamtym świecie, za pieniądze sprzedawał rozgrzeszenie od wszystkich grzechów" i t. d.

„Między panami, a szczególniej między księżmi znaleźli się spryciarze, którzy wymyślili... sposób zwalczania niemiłych dla panów przedstawień teatralnych i kukiełkowych".

Dla tego celu wymyślili „jasełki" (!), jako zabawkę, która miała ludziom „pokręcić w głowie" i odwrócić ich od prawdy. Pan Kleniec gorąco namawia młodzież ludową, by nie uczestniczyła w przedstawieniach jasełkowych, radzi im natomiast organizować szopki z kukiełkami:

„Jeno oczywiście w takiej szopce ludowej nie będzie ani djabła, ani śmierci, ścinającej głowę Herodowi, ani innych podobnych głupstw. Natomiast mogą tam być lalki, wyobrażające żywe i znane wszystkim postaci. Dlaczegoby w szopce chłopskiej nie miał zatańczyć np. brzuchaty ksiądz proboszcz ze swoją Magdusią? Dlaczego nie miałby, jaka lalka, poskakać obszarnik z obszarniczką, lub pan poseł sejmowy, co to przed wyborami wszystkim chłopom ziemię obiecywał, a po wyborach tylko dobrą posadkę dla swego synka w ministerstwie wywojował i t. d. — Wesołej młodzieży pomysłów nie braknie. Do każdej lalki trzebaby dobierać przyśpiewkę piosenkę ułożyć i śmiesznie ją śpiewać, toby się ludzie zaśmiewali z takiej szopki, a jednocześnie niejednemu słuchającemu, który dotychczas nic nie rozumiał, i tylko księdzu umiał rękę całować, oczyby się na prawdę życia chłopskiego otworzyły. Podczas zimowych wieczorów taka chłopska szopka byłaby bardzo miłem i bardzo pożytecznem zajęciem dla młodzieży wiejskiej" (str. 15).

Jak z tego widzimy „Chcę poznać wszystko", stara się być rzeczywiście „miłem i pożytecznem" pismem dla młodzieży wiejskiej. Sądzimy nawet, że z pewnem zainteresowaniem puszcza w świat to pisemko i cenzura w wolnych chwilach od—konfiskowania prasy narodowej.

— — — — — — —

Jedna rzecz atoli jest w tem wszystkiem bardzo ciekawa. Oto redakcja i administracja tego komunistycznego organu gnieździ się akurat w tym samym lokalu, (przy ul. Nowogrodzkiej 21), w którym rozsiadł się — obficie subwencjonowany przez rząd „Instytut oświaty dorosłych", wylęgarnia różnych dygnitarzy ministerstwa oświaty, Instytut mieniący się dumnie „Centralną instytucją naukowo-instruktorską".

Czy ta symbioza półoficjalnej instytucji oświatowej z organem walczącego komunizmu nie jest faktem rozczulającym i wymownym, niech osądzą sami szanowni czytelnicy.

W. DĄBROWSKI

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Pożytecznej pracy dokonał prof. Leon Halban, który w najnowszej swej książce p. t. „Społeczne ideały Chrześcijaństwa w pierwszych wiekach" (Poznań, nakładem księgarni św. Wojciecha) w przystępnej formie przedstawić zamierzył, na podstawie pism Ojców Apostolskich oraz Ojców Kościoła, najogólniejsze poglądy chrześcijan pierwotnych na zagadnienia życia zbiorowego, przedewszystkiem zaś na sprawę stosunku człowieka do dóbr materjalnych tudzież sprawę stosunku jednostki do społeczeństwa i do państwa. Nie wyczerpawszy oczywiście bynajmniej tematu, zreferował prof. Halban w sposób jasny i zwięzły szereg najważniejszych punktów starochrześcijańskiej doktryny społecznej, zarysowując je na tle ogólnego położenia społeczno-gospodarczego, jak również na tle poglądów politycznych i religijnych, panujących w Rzymie w pierwszych stuleciach po Chrystusie. Autor słusznie zupełnie stwierdza, że „dzisiaj właśnie przeżywamy zmierzch ustroju wzniesionego na podstawach, którym zapewnili zwycięstwo zwolennicy zasad przedchrześcijańskich na przełomie wieków średnich a czasów nowożytnych", i że w związku z faktem powyższym stoimy obecnie „w obliczu odmiennej oceny chrześcijańskich poglądów społecznych, aniżeli kilkadziesiąt lat temu". Tem cenniejsze staje się częściowe chociażby uprzystępnienie skarbów mądrości, zawartych w polityczno-społecznych wskazaniach „Nauki Dwunastu Apostołów", w pismach św. Justyna, św. Cyprjana, Minucjusza Feliksa, Tertuljana i innych, jak niemniej przykładów praktycznego rozwiązywania trudnych zagadnień społecznych we współżyciu wewnątrz gmin chrześcijańskich w pierwszych wiekach. W czasach teraźniejszych szczególnego całkiem znaczenia nabiera podstawowa zasada ideologji społecznej chrześcijaństwa, słusznie w pracy prof. Halbana podkreślona, zasada supremacji obowiązku nad prawem.

*

W „Bibljotece przekładów dzieł pedagogicznych", umiejętnie redagowanej przez dr. Zygmunta Ziembińskiego, ukazało się tłumaczenie nader interesującego dzieła Williama Mc Dougall'a „Psychologja grupy" (Lwów-Warszawa, 1930, nakładem zakł. wyd. „Książnica — Atlas"). Wstępem p. t. „W. Mc Dougall i psychologja społeczna" poprzedził rzecz tłumacz dzieła, dr. Józef Chałasiński. O książce tej napiszemy wkrótce obszerniej.

*

Nakładem Kasy im. Mianowskiego ukazał się, w nader starannym przekładzie polskim Artura Chojeckiego, znany w nauce europejskiej „Podręcznik psychologji" Edwarda Bradforda Titchener'a (Warszawa, 1929). Zwłaszcza jako podręcznik uniwersytecki, książka ta oddać może studjującym psychologję poważne usługi.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Spring in Russia*"—pod tym tytułem księgarnia Longa w Londynie (John Long Ltd. 34—36, Paternosterow, London 1929, price 18 s.), ogłosiła niedawno książkę Johna Vidor'a, który, jak twierdzi, wysłany został do Rosji, pozornie w cha-

rakterze szefa komunistów, faktycznie w celach wywiadowczych, nie przez rządowe *Intelligence Service*, ale przez jedną z tych tajnych organizacji, które tak skutecznie pomagają w Anglji *Intelligence Service* w walce z komunizmem.

Na specjalną uwagę zasługuje rozdział XVIII książki, gdzie autor mówi o metodach bolszewickiej propagandy i jej organizacyj, finansach i kontr-wywiadzie na terenie angielskim, a która jak wiadomo przedstawia się podobnie we wszystkich krajach.

*

W ostatnim tygodniu została przyznana p. Henry Daguerches nagroda *„Française d'Asie"* w kwocie 25.000 frs. Celem tej nagrody jest odznaczenie takiego dzieła, które posiadając czysto literackie zalety, pozwoliłoby równocześnie poznać Azję i wysiłek kolonizacyjny Francuzów na dalekim wschodzie. Trafny wybór padł na p. Daguerches za jego książkę *„Le Kilomètre 83"*, a który równocześnie jest autorem *„Consolata fille du Soleil"* i *„Le Chemin de Pati-Pata"*. P. Daguerches jest pułkownikiem armji kolonjalnej, przebywa stale na Wschodzie, albo w Saïgon, albo w Hanoï. Tam to zresztą doszła go wiadomość, że jest szczęśliwym laureatem. Utwór *„Le Kilomètre 83,"* pełen specjalnego kolorytu, odtwarza życie Europejczyków na dalekim wschodzie. Autor daje nam nadzwyczaj żywe opisy Saïgonu, a także i przepysznego lasu Kmère, gdzie wrze praca, gdyż nad budową drogi żelaznej Siam-Cambodge pracuje cała armja robotników, oraz Europejczyków, nękanych często gorączką. Obrazy ich egzystencji nadzwyczaj silnie i dramatycznie nakreślone.

*

W literaturze francuskiej spotykamy po wojnie wiele typów międzynarodowych. Można jednakowoż śmiało powiedzieć, że pomiędzy temi ostatniemi przeważa narodowość rosyjska. Jest ona oczywiście reprezentowana raz przez „białych", a raz przez „czerwonych". Bolszewikiem właśnie jest bohater ciekawej książki p. Drieu La Rochelle, noszącej tytuł *„Une Femme à la fenêtre"* (Nouvelle Revue Française). Akcja jej toczy się zresztą w Atenach. Tam bowiem przebywa młoda i piękna Francuzka, żona włoskiego dyplomaty, lubiącego szerokie i wesołe życie. Cały szereg osobistości nadskakuje jej, ale są to wszystko flirty bez znaczenia. Natomiast pewnej nocy spotka ją niespodziewana wizyta, która spowoduje zupełny przewrót w jej banalnem życiu. Jakiś nieznajomy człowiek wskakuje do jej sypialni przez okno. Po kilku minutach zdziwienia, tłómaczy iż jest ściganym komunistą. Powabna Francuzka przypatruje się mu uważnie i nie pozostaje obojętną na jego męską urodę. Dzięki tej kobiecie — a także i dyplomacie włoskiemu zresztą — bolszewik, Michał Boutros znajduje schronienie. Nie dość na tem. Odwozi go ona nawet swoim samochodem do Delf. Boutros oczywiście, jeżeli przynajmniej nie przeczy piękności Partenonu i starożytnej Grecji, to niemniej nie chce się nią przejmować: jako bowiem pracowity i szanujący się komunista potrzebuje za wszelką cenę czegoś nowego. Jego teorje i zapał tak przekonają młodą Francuzkę, że najpierw odda mu się, poczem już zaczyna nawet uważać bolszewizm za wiosnę ludów..., a wreszcie postanawia opuścić męża i majątek i pójść w życie za bolszewikiem. W tym jednak momencie autor użył, po części, strategicznego posunięcia: rozdzielił kochanków. Nie dowiemy się też, czy nowa adeptka komunizmu, która powróciła do Aten, aby zlikwidować swoją sytuację, odnajdzie potem Boutrosa, czy też w swem otoczeniu odzyska równowagę i puści w niepamięć i szał jednej nocy i katechizm czerwonej wiary. Książka bardzo interesująca, intryga zręcznie przeprowadzona.

SZTUKI PLASTYCZNE

RADOŚĆ ŻYCIA

SALON Garlińskiego wystawił zbiór obrazów p. Roma Witkowskiego. Tym razem wstęp do katalogu napisał sam artysta-malarz. Myślę, że warto wprowadzić ten zwyczaj, żeby artyści sami w katalogach przemawiali do widzów. Słowo artysty o sztuce zawsze jest o wiele ciekawsze od wypracowań krytyki zawodowej. Krytycy usiłują powiedzieć coś o pracach wystawcy, a że są w tej roli skrępowani uprzejmością, więc zazwyczaj powstają z tego banalne banialuki. Artysta nic o sobie bezpośrednio nie powie, ale myśli, które przy sposobności wygłosi o sztuce, lepiej i głębiej poznać go pozwolą, niż cudze przedstawienia. Artysta-plastyk otrzyma możność przemówienia w dniu dla siebie ważnym, a katalog ze wstępem artysty nabierze wartości i życia, których go pozbawiają urzędowe przedmowy krytyków,

P. Rom Witkowski umieścił nad swoim wstępem rodzaj dedykacji w słowach następujących: „Pamięci Gaugin'a, van Gogh'a i tych, co w sztuce ujrzeli i widzą radość życia". Nie można zgodzić się na pogląd, że w sztuce van Gogh'a tkwi radość życiowa. Przeciwnie, to sztuka pod każdym względem posępna. Jest w niej coś ze szpitala, a czasem — z więzienia. Nastrój, koloryt, linja i swoisty kształt plam barwnych, tak dla van Gogh'a charakterystyczny, wprowadzają do jego sztuki chorobliwy, obłędny niepokój, przygnębienie, trwogę i wieczną ucieczkę przed czemś nieznanem, a strasznem. Co do Gauguin'a, jest on pełen siły i powagi człowieka pierwotnego, można w nim odczuć nieraz pogodę, ale wyłączne określanie sztuki jego cechą radości wydaje mi się rzeczą zbyt ryzykowną. Nie czyniąc jednak sprawy spornej z poglądu autora na sztukę Gauguin'a, zapytam tylko, w jaki sposób można w van Gogh'u dopatrzyć się widzenia radości życia?... Nie umiem nawet wyobrazić sobie stanu duchowego o takiej czarności, dla której van Gogh byłby jasny i radosny.

Z dalszego ciągu wstępu autora możnaby wywnioskować, że na wystawie znajdujemy się wobec sztuki, która jest uosobieniem radości. Ale tu zawód spotyka widza na całej linji bojowej dzieł. Połowa prac w stylu judoformizmu należy do gatunku geometrycznych wykresów kolorowych techniki fabrycznej, zresztą — bezcelowych. Z zasady i zamiaru są one pozbawione pierwiastków artyzmu. Przykład: na płótnie w ramach widnieją płaszczyzny dwuch, czy trzech kartonów tekturowych, na jednym z nich liczba „10", oraz litery „PRO" przysłonięte w części klocem sześciennym, z tektury wyciętym, obok — kilka grubszych i cieńszych kresek czarnych, pionowych i poziomych, a całość „wyglansowana" farbami na sposób, w jaki się maluje drzwi i okna... to ma być obraz, dzieło sztuki malarskiej. W tym rodzaju około dziesięciu prac wystawionych świadczy tylko o wielkiej, rozbrajającej naiwności artysty.

Natomiast szereg głów i portretów mówi o pewnem w autorze poczuciu kształtu i wyrazu, zwłaszcza obraz № 8 p. t. „Głowa", naśladujący technikę i robotę van Gogh'a. Wszystko to jednak w kolorze jest ponure, a w kształcie wysilone, jakby gwałtem i w męce ze siebie wymuszane, a przez to przykre i smutne. Pomiędzy twórczością a słowem autora zachodzi jakieś głębokie, może tragiczne nieporozumienie. Pominąwszy judoformizm, który u p. Witkowskiego zdaje się być raczej krnąbrną przekorą, niż wiarą, ta druga, na van Gogh'a wzorowana, połowa jego prac pochodzi ze świata stałej, nieuleczalnej udręki duchowej i tę udrękę przenosi na widza. W większości swoich dzieł artysta nie przetopił farb na barwy, a i te farby układa w twarde zespoły kolorystyczne, zaś ich rysunek tak czasem wykręca i wyłamuje, oraz tak brutalnie uplastycznia, że obraz w całości daje wrażenie dziesiątkami ponalepianych na płótno, brudnych w barwie pijawek i glist ziemnych. Wrażenie odstręczające. Czy to ma być sławiona przez artystę radość życia w sztuce?

Wbrew twierdzeniom autora, sztuka wogóle, a malarstwo w szczególności na całym obszarze zjawisk swoich jest objawieniem radości życia, lecz pod warunkiem, że twórcami jej są ludzie utalentowani. Tylko brak talentu powoduje w sztuce męczarnie i przygnębienie artysty, a w nieuniknionem następstwie — i odbiorcy. Ten sam skutek osiąga talent istotny, ale chory, obłąkany, jak, naprzykład van Gogh, co, zresztą, stanowi rzadki w sztuce wyjątek. Naśladowanie choroby przez człowieka zdrowego prowadzi do takich zgrzytów, jakie za cel sobie postawił p. Witkowski. Że technika i robota van Gogh'a są u artysty polskiego tylko przejętym sposobem zewnętrznym malowania, o tem dowodnie przekonywa kilka innych obrazów p. Witkowskiego, malowanych gładko, szerokiemi płaszczyznami i modelowanych płasko. Ale i tu niema radości. Koloryt posępny, albo surowy, rysunek pospolity, w układzie i nastroju niedbałość,

przypadkowość, anarchja Ze znamion w tym rodzaju nie spływa radość na widza. Z pewnością też nie są one wynikiem i wyrazem twórczości radosnej ze strony artysty.

Ta „radość“ i „twórczość radosna“, jako hasło życia, w ordynarny, trywjalny sposób na tłumy rzucane, zdążyła już w Polsce obrzydnąć tak w polityce, jak w sztuce. Tkwi w tem haśle kłamstwo, fałsz i oszustwo, świadomie dla ukrycia tajnych, a posępnych celów używane. Pracownik i twórca uczciwy, istotnie radością pracy przejęty, nie afiszuje się tak bezczelnie ze swoją radością. Nie mówi o niej wcale, nie myśli o niej, nie nazywa jej, nie wynosi jej na ulicę. Pracuje sam i innych do pracy nawołuje, lub organizuje, ale tylko do pracy, bez włażenia w kaloszach do uczuć człowieka. Ten „radosny“ przymiotnik zdaleka już zalatuje arogancją żydowską. Z samego zapaszku można bez omyłki wskazać jego rodowód: powstał on conajmniej na trzydziestym stopniu samego B'nei B'rith i stamtąd kapnął na olśnioną tym pomysłem lożę ministra. W prasie odpowiedniej kropla rozmnożyła się w powódź „radości“. Wiadomo: najgrubsza przekupka dziennikarza przegadać nie zdoła. W tej kropli utonął również bezkrytyczny umysł artysty.

Sztuka p. Witkowskiego przeczy dobitnie jego słownym we wstępie do katalogu wywodom. Należy wierzyć sztuce, a nie słowom, bo tylko ona jest pracą, której sfałszować nie można.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

TEATR

„LEGJON” WYSPIAŃSKIEGO

Nie każdy naród ma w swojej literaturze dzieła, któreby można wystawić w wielkim teatrze jako widowisko pasyjne w tygodniu męki Pańskiej. Żeby takie dzieło wydobyć z własnego przeżycia, naród musi przebyć sam drogę krzyżową. Ile nas to kosztowało, jaki to był dramat, na to mamy w literaturze dokument pod nazwą: Mickiewicz.

Przyszedł potem nowy poeta, już kiedy północ minęła i miało się ku świtaniu—Wyspiański, a ten rozpamiętywując mękę Mickiewicza, napisał „Legjon“, aby w tym poemacie dramatycznym odtworzyć wszystkie swoje wzruszenia, jakie przeżył, zajrzawszy w duszę tego genjusza narodu „Legjon“ jest pomnikiem poetów potomnych, wystawionym przez Wyspiańskiego w hołdzie Mickiewiczowi.

Nigdy bodaj okrzyk: *altissimo poeta!* nie brzmiał nutą takiej szczerości, jak tutaj. Temu, co cierpiał za naród, złożył hołd drugi podobnie głębokich wyczuć poeta. Ogół nie umie powiedzieć, za co czci Mickiewicza. Wyspiański pokazał, że za to odkupiające cierpienie, które dało piętno świętości katastrofie narodu i jego przemianie duchowej. Bez tej przemiany na typ rycerza chrześcijańskiego nowej epoki naród nie byłby zdolny do odrodzenia swego życia w pełni. Mickiewicz w tym skrócie, jakim jest jednostka od narodu natchniona, przebył drogę, którą miał do przebycia duch narodu, powołany — po upadku państwa — do rządów nad sobą bezpośrednich. W nim dokonał się proces zestrzelenia jaźni z rozpierzchniętych, nie umiejących znaleźć wyrazu poczuć organicznych.

Poeta tej siły wyobraźni, co Mickiewicz, wyprzedza środowisko. Niczem byłyby dla życia jego widzenia i męka, gdyby najbliższe pokolenia nie czuły w nim prawdy psychologicznej i nie przerobiły same na sobie tej pracy duchowej, którą wykonał poeta.

Myśmy ten proces uświadomień ducha narodowego przerobili w naszem pokoleniu ostatniem w porządku pracy realnej nad sobą i nad środowiskiem. Wiemy, na czem on polega i dlatego mamy prawo powiedzieć ludziom: zostawcie, co jest metafizycznego i mistycznego poezji, a metodom życia oddajcie, co jest dla rzeczywistości. Umyślnie wyżej w rubryce „Na widowni“ notuję refleksję z r. 1916, bo gdy z narodem dzieje się dramat, to zwłaszcza na obczyźnie psychika społeczna zawsze czuje się krzyżowaną. Pierwiastek religijny, który u Mickiewicza wtedy był żywiołem, musi się odnaleźć w psychice powszedniej. Gdyby go tu nie było, nie wiele warta byłaby poezja Wyspiańskiego, nie trafiałaby do duszy naszej.

Mickiewicz, jak go pojął Wyspiański, wypadł z orbity ziemskiej i z narodu swego czyni Chrystusa narodów, a wcieleniem jego staje się sam. Jest to jakby przedłużenie metafizyczne linji, przeniesienie sprawy w świat ducha. Przełom ten, połączony z utratą ciążenia do ziemi, następuje pod urokiem słów Papieża. Odtąd tylko mowa o odkupieniu narodów. Królestwo jego już nie z tego świata. Daremnie z głębi tęsknot ludzkich woła w poecie głos ludu z nad Świtezi:

> Wróć, wróć do chat,
> do młodych lat —
> tam ogień jeszcze tli!

Duch wieszcza w nieopisanym smutku, pociągany siłą nadziemską ginie wśród gwiazd:

> Wybrałem duszy spokoje —
> przekląłem królestwa Ziemi...

Oto załamanie romantyzmu w dramacie Mickiewicza. Tak odlatuje duch tylko z grobu. Powrotu stąd niema. „Wołasz, a pustość jest głucha“.

Idącemu na śmierć i mękę towarzyszy wiara, że

> Ze śmierci ciał się urodzi
> Duch — Słowo, Słowo — potęga.

Talizman życia zaklęty w Słowo -- oto gdzie Polska znalazła schron tym dziwnym obrotem dziejów ducha. Jak życie stamtąd wyczarować, aby wróciło na ziemię, temu zagadnieniu Wyspiański poświecił inny wspaniały dramat: „Wyzwolenie“.

Nie na miejscu byłyby tutaj studja na użytek teatralny; tych parę słów niech starczy, aby schwytać główny wątek i zejść za nim we wnętrze własnej duszy. Kto u siebie ten dramat odnajdzie, ten zrozumie poemat Wyspiańskiego.

Teatr Narodowy, wystawiając „Legjon“ na scenie operowej, bo gdzieindziej obrazyby się nie zmieściły, dał widowisko wspaniałe bogactwem ludzi i dekoracyj, talentami artystów. Parę set osób użyto w scenach zbiorowych. Szkoda było pięknych dekoracyj, że ginęły w mrokach przy systemie wyświetlania figur reflektorami. Męczy to wzrok. Artystom należy się wdzięczność za trud, za wysiłek słowa, pochłaniany wielkością sceny.

Widowisko pasyjne godne wielkiego teatru, wielkiej literatury i wielkiego narodu, który — już po śmierci poety, ale za jego przeczuciem — wyzwolił życie ze Słowa, iż stało się ciałem..

Z. W.

Z TEATRU MAŁEGO

Nowa komedja Stefana Kiedrzyńskiego p. t. „Piorun z jasnego nieba“, grana obecnie w Teatrze Małym, obfituje w doskonałe koncepty zarówno lokucyjne, jak i sytuacyjne, które wywołują u widzów huczną wesołość. Najdowcipniejszy jest akt pierwszy. Tętni w nim życie. Bohaterowie utworu (powieściopisarz z brukowego dziennika, bubek z ministerjum, podstarzały entuzjasta sportu, fałszywa arystokratka), mają mnóstwo cech autentycznych: są równie zabawni, jak ich prototypy spotykane w świecie rzeczywistym.

W akcie drugim — o dziwo! — te same postacie tracą wszelką krwistość i szeleszczą papierem. Poza kostjumami niema w nich nic spółczesnego. Robią wrażenie figurynek scenicznych z epoki Suego. Komedja obyczajowa przeistacza się w melodramat, który zresztą nie przestaje być zabawny. Publiczność premjerowa (najniewdzięczniejsza!) była tym aktem zachwycona tak dalece, że autora wywoływała znacznie głośniej, niż po akcie pierwszym. Dowód to niewątpliwy talentu Kiedrzyńskiego, umiejącego wybornie operować efektami, adresowanemi specjalnie dla galerji. Pod spodem, pod jaskrawiznami powierzchownemi istnieją w utworze ślady przemyśleń, a nawet przeżyć głębszych, ale bardzo trudno ich się dopatrzyć, gdyż efekciarstwo zdawkowe zagłusza je niemal kompletnie.

Sztuka jest wybornie grana przez pp. Modzelewską, Stanisławskiego, Grabowskiego, Frietschego, Kamińską.

ZASTĘPCA

W dniu Zmartwychwstania Pańskiego Redakcja „Myśli Narodowej“ przesyła wszystkim przyjaciołom i czytelnikom życzenia

WESOŁEGO ALLELUJA!

OFENSYWA

A CO TAM Z TĄ AKADEMJĄ?

GADANINY i pisaniny było *plus minus* jakieś 180.000 tonn; atramentu wyszło jakieś 670 — 690 wiader; zebrań, konwentyklów i konferencyj kilkaset; prócz tego jakieś jedenaście ankiet na ten temat, niby: co prędzej i co lepiej, czy najpierw przywrócić Ministerstwo Kultury i Sztuki a potem Akademję, czy najpierw Akademję a potem Ministerstwo Kultury i Sztuki, względnie: żadnego Ministerstwa a natomiast „Akademja Sztuki i Literatury".

Po omal czterech latach wyszły z tego wszystkiego poprostu: nici. Już nie słychać nic ni o konwentyklach ni o ankietach. Pułkowniki ochłodły dla tych *impoderabiliów*. Mają ważniejsze kłopociska na głowach i na główkach. „Biedny Gigolo" jeszcze lubił bawić się i w Maccenesa. Protegował szczególnie Stefana Batorego, w życiu, na scenie, ewentualnie olejno i w marmurze. Złote góry obiecywał. Już, już miała być Akademja, potem Ministerstwo Sztuki, nowy minister, festiwale, propaganda, *attachés* artystyczni przy każdej ambasadzie, olbrzymie dotacje i stypendja rządowe, wogóle etatyzacja Sztuki i Literatury, jak się patrzy. Ale „Biedny Gigolo" poszedł i znowu musi tylko pisywać artykulasy w „Gazecie Zbrojnej". Już nie znaczy nic, już się o nim nie mówi, wyszedł z mody, jest sobie zwykłym „panem Świtalskim", oczywiście zgorzkniałym, smętnym „bywszym czeławiekiem". Przyszedł pan Sławek i to na czasy bardzo ciężkie. Gotówki jest mało, o luzach i luksusach nie można nawet mówić, kryzys gospodarczy na całej linji; niech sobie literaty i artysty radzą, jak mogą: żadnej Akademji ani Ministerstwa Sztuki nie będzie.

Można to było przewidzieć już dwa, trzy lata temu. Stosunek bowiem pułkowników tego typu do kultury i jej wytwórców był tylko przypadkowo i przygodny, nie szczery i z żadnych pobudek wewnętrznych, duchowych nie wypływający. Ot poprostu, aby utrzymać się i utrwalić przy władzy, kombinatory wykombinowały, że potrzeba im, aby jednego dnia zyskali dla „idei marszałkowskiej" ziemian, żubrów, latyfundystów, książąt, agrarjuszów, szlagonerję, „towarzystwo"; do tego odkomenderowano kilku co szykowniejszych. Drugiego dnia dla zdobycia literatów, artystów, malarzy, aktorów, powieściopisarzy, nowelistów i t. p. odkomenderowano drugi garnitur pułkowników co inteligentniejszych i orjentujących się cokolwiek w „Sztuce", tyle a tyle złociszów dano im do dyspozycji *ad captandam benevolentiam* Cyganerji.

Przez omal dwa lata można było przez lornetkę obserwować dość groteskowe quiproquickie dziwowisko. Te i owe ministry, lecące na popularność, przymilały się do malarji i literatury a znowuż te i owe wolne duchy i rogate indywidualności mizdrzyły się do pułkownikierji, czasami nawet nie gustownie się płaszcząc, na *auri sacra fames* przewlekle cierpiąc, w naciąganitis się bawiąc a nadziejami karmiąc, że „obrabianiem szafarzy" wreszcie uda się z miarodajnych czynników wycisnąć krągłą sumę na zafundowanie takiej uroczystej ochronki dla „błagonadzieżnych", takiego *Asylum* dla przemęczonych i wypisanych, takiego *Tusculum* dla rozpróżniaczonych a bezidowych i wyjałowionych. W dwuletnim okresie tych „rokowań" o Akademję i „snów o szpadce" ten i ów „niezależny" duch uciszył się i „ustatkował" oberwawszy „*schweiggeld*", ten i ów malkontentas się pożywił jako tako, tamtego wysłano do Ameryki, owego na rok do Paryża, za wystawienie sztuki temu zapłacono teatrowi dekoracje, za tamtego sztuczki zagrane po angielsku zapłacono w Londynie, zakupiono też kilka rzeźb, obrazów, drzeworytów i... i *finita la comedia*.

Premjer Sławek nie chce pozować na Aleksandra Macedońskiego-Skrzyńskiego i w protegowanie „artystów" bawić się nie będzie. Pan August Zaleski też wnet zamknie szkatułkę przed Komandorem Jasnogórskim i zipiące „Echo Tygodnia zawieszą na kołku, a nawet samemu Kadenowi skończą się „triumfalne" objazdy po większych miastach Estonji. Tylko jeszcze na zjazd izra-Elity ze Sca-Pen-clubów europejskich... w czerwcu będzie musiał rząd (łasy na reklamę) beknąć nieco grosiwa.

Akademji tedy niema i narazie nie będzie. My po nagłej i spodziewanej śmierci tego „*Steinkinda*" ronić łez nie będziemy. Nie miało w tem być już w założeniu samem nic serjo i nic solidnego. Ot jedna więcej z jaczejek dychtatury i, synekurnik dla niezapoznanych miernot i dożywotnich nieśmiertelników, porozdymanych w stolicy jednodniowych wielkości, obrotnych spryciarzy i nieszkodliwych kompromistrzów. Już inauguracja takiego Areopagu w liberjach i ze szpadkami skończyłaby się hosanną zaplutych podchlebstwami karłów na benefis największego z największych; już bankiet inauguracyjny kończyłby się obnoszeniem dokoła talerza znanych „wetów", w które każdy Nieśmiertelnik musiałby obligatoryjnie i symbolicznie wetknąć dwa palce i trzymać niezłomnie tak długo, aż póki Wieniawa, podtrzymywany na nogach przez Oppmana i Hirschbandego (reżyser celebry) nie dałby rozkazu: *satis!*

Czy przez taki zespół założycieli i akuszerek zorganizowana i zmontowana „Akademja Warszawska" nie rozmijałaby się z właściwym celem podobnych wspaniałych i czcigodnych Instytutów europejskich, o tem musimy stanowczo wątpić. W opublikowanym dwa lata temu przez p. Kadena i jego drużbów „Projekcie" czytało się bowiem takie zwroty:

„Pobory (*sic*) akademickie (*sic*) kumulują się (*sic*).

Akademja zostaje powołaną do życia na (*sic*) drodze"...

...Każdorazowy (*sic*) Prezydent Rzeczypospolitej jest prezesem honorowym..." I t. p. i t. d.

Dobrze tedy może się stało, że do takiej akademji przy obecnej konjunkturze politycznej nie doszło.

Ale jeżeli w przyszłości (oby nawet niezbyt dalekiej) przyjdzie po solidnem przygotowaniu do rządów Elita uczciwych ludzi, a genjusze pójdą społem na szmelc, to wtedy trzeba będzie jednak pomyśleć znów o takiej Akademji, która atoli orędzia swoje będzie redagowała w starannej nie w steranej polszczyźnie, polskiej a nie krakauerskiej...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dzienniki „sanacyjne" przysięgają, że nikt nie planuje pochodu na Kijów i nikt nie zrzeka się Pomorza. Powinny się cieszyć z tej jednomyślności narodu i oporności na pokuszenia, tymczasem strasznie się gniewają przy tej okazji.

Szczególnie zagniewany jest p. August Zaleski. A to niedobrze. Wogóle pacyfiści nie powinni się gniewać na tych, co przeciwni są awanturom wojennym. Tak się jakoś dziwnie złożyło, że pacyfistów irytuje pokojowość nacjonalistów, których ogłaszali za źródło niepokoju.

*

Trudno było zrobić większą przyjemność Niemcom, jak usunąć z widowni politycznej dwie takie siły jak Stanisława Zielińskiego z Berlina i Aleks. Szczepańskiego, b. konsula w Bytomiu. Przedtem taką przyjemność zrobiło im usunięcie prof. B. Winiarskiego z kierownictwa likwidacji

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45.
Adres Administracji: Al. Jerozolimskie 17, 2-e piętro. Tel. 12-90

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półrocznie zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.
Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Warszawa, Zielna 47. Tel. 19-57.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.